

BIBLIOTEKA  
GŁÓWNA

**W**  
**SP**  
KRAKÓW

3046

Jar Janki  
G. se. 14



GAWĘDY FAMILIJNE





JAN TURKUŁŁ

---

# GAWĘDY FAMILIJNE

PAMIĘTNIK Z XIX. WIEKU

WYDAŁ

L. Ż.



KRAKÓW  
NAKŁADEM AUTORA  
1897

243



3046

## OD WYDAWCY.

Spełniając obowiązek egzekutora testamentu śp. Jana Turkuła, i chcąc zadość uczynić życzeniu jego, wyrażonemu we wstępie, pozostałych po nim pamiętników, żeby takowe zakomunikować jego krewnym, dla ułatwienia tego zadania, ogłaszamy je drukiem. Pamiętnik ten spisany ręką 84-go starca, który przeżył cały prawie XIX w. administrując rozległemi dobrami na przestrzeni całego prawie Wołynia, pędząc żywot, nadzwyczaj ruchliwy i pracowity, będąc w w stosunkach z najwybitniejszymi przedstawicielami społeczeństwa, nie zawiera może donioślejszych faktów, ogólniejszego znaczenia, ale zawiera dużo szczegółów, z obyczajowego i ekonomicznego bytu ziemian wołyńskich i skutkiem tego, nie dla samych tylko krewnych zmarłego, może być, nie bez interesu. Tytuł, Gawędy familijne, nadany przez zmarłego, przed 30-tu laty pamiętnikowi, który zgorzał w czasie pożaru, zostawiamy ten sam. W późnej starości, chcąc go odtworzyć, przygotowywał doń materiały, spisując z pamięci, niechronologicznie, oderwane notaty kategoriami jak np. O zdrowiu mojem od 1809 r. do 1887. O szkołach krzemienieckich. O posesyach moich. O wystawach powszechnych — itp. — Niełatwe więc miał zadanie wydawca, wszystko to uporządkować chro-

nologicznie i zwi zać w jedn  harmonijn  ca c. — Przez p l wieku prawie, b d c w ci głych blizkich stosunkach ze zmarłym, du o zapami ta em z ustnego opowiadania i to mi dopomog o do zapełnienia wielu brak w, w pozostawionych notatkach. Ś. p. Jan Turkuł, umarłszy bezdzietnie, ca    fortun , zdobyt  ci żk  prac , zapisał licznym bli szym i dalszym krewnym, ubogim i na kościoły. Wydaj c ten pami tnik — chcemy nim zrobi c przyczynek do pomnika, jaki ma sta c na grobie zmarłego.

L.  .

## OD AUTORA.

---

**K**ażdy, umiejący pisać, mojem zdaniem, ma obowiązek, zostawić swoim potomkom, opis jak żył, co czynił, co widział i co się działo za jego bytności na tym świecie, byleby tylko pisał świętą prawdę. Chcąc spełnić ten obowiązek, przed kilkunastu laty, zacząłem pisać »Gawędy familijne«, które spaliły się, w czasie pożaru domu mego, we wsi Witoniu, powiatu Łuckiego w roku 1866. Dzisiaj, co mi pamięć moja w 84-tym roku życia zachowała, to wam opiszę, prosząc o zakomunikowanie wszystkim moim krewnym.

*Witoniu 1884 roku.*



## ROZDZIAŁ I.

Rodowód Turkułów. — Pobyt mój w szkołach krzemienieckich od roku 1809 do 1814. — Prefekt Antoni Jarkowski, — Przejazd na niedźwiedziu. — Kurator Tadeusz Czacki. — Słabość moja. — Lekarze krzemienieccy. — Nauczyciele czterech pierwszych klas. — Hrabia Wacław Rzewuski. — Tomasz Padura. — Pobyt mój w domu rodziców od roku 1814 do 1819.

Zaczynam od genealogii rodu Turkułów herbu Ostoja, zatwierdzonej ukazem heroldyjnym 11 września 1841 roku. Ojciec mój Antoni, syn Faustyna Łowczego Trockiego, był potomkiem w szóstym pokoleniu, Stefana Turkuła, Wojewody Mołdawskiego 1676 r. Matka moja Lukrecja, była córką Tomasza Żytyńskiego, komornika Latyczowskiego, a siostrą Czesława Żytyńskiego, Chorążego i Szambelana Stanisława Augusta. Józefat, Augustyn i Konstanty Żytyńscy, moi cioteczni bracia, synowie Szambelana Czesława. Starsza siostra mojej matki Katarzyna, była za Onufrym Bosniarskim, i fakt szczególny, że dopiero w 50-tym roku życia miała jedynego tylko syna Marcina, późniejszego Marszałka Zwiachelskiego powiatu. Druga siostra matki, Petronela była za Stanisławem Niniewskim Burgrabią Piotrkowskim, których jedyna córka Apolonia, za Sędzią Krzemienieckim, Klemensem Strzałką, a ich również jedyna córka, za Feliksem Radziwińskim porucznikiem wojsk polskich. — Rodzice moi mieli dwóch synów

Starszego Kazimierza, urodzonego 1794 i mnie Jana Augustyna, urodzonego 1800 r., we wsi Kulikowie, powiatu Krzemienieckiego, którą to wieś trzymał mój ojciec w zastawie. Siostra moja Felicyanna była za Antonim Wesołowskim, których synowie Feliks Sędzia p. Zwiachelskiego i Jan doktor medycyny, córka zaś Apolonia za doktorem Ludwikiem Miecznikowskim, których syn Józef. Brat mój Kazimierz miał synów: Wiktora, Izydora i Bolesława. — Dzieci pierwszego żyjący, a moje wnuki August, Joanna i Ludwika, córka Izydora Marya za Drewnowskim.

Po skończeniu kontraktu zastawnego na Kulików, ojciec mój wziął posesję Kopaczówkę pod Wołoczyskami, a później Zalisce pod Krzemieńcem od hr. Wandalina Mniszka. W roku 1809, wraz z bratem moim Kazimierzem, który był już w 4-tej klasie liceum krzemienieckiego, zostałem i ja oddany do szkół. Ulokował nas ojciec na stacyi u niejakich Chruścickich, a za dyrektora domowego mieliśmy pana Olejnicza. Prefekt liceum krzemienieckiego Antoni Jarkowski, był szkolnym kolegą naszego ojca. Do niego więc najprzód poprowadził nas, a prezentując mnie jako nowo przybyłego przemówił: »Panie Antoni, proszę Cię, jako mego szkolnego kolegę, miej nad nim dobre oko, i jak tylko przewini, wal mu w skórę, moją ojcowską ręką, prosiłem o to i pana Olejnicza«. Nie długo czekałem na skutki tej prośby, prędko bardzo, domowy opiekun, nie pamiętam już za co, kazawszy potrzymać kolegom, wymierzył mi bolącą admonicyę, a wkrótce prefekt Jarkowski wyprawił mnie z 1-szej klasy do siebie do domu mówiąc: »Zaprowadźcie go do niedźwiedzia«. Nie mogłem zrozumieć, co to miało znaczyć, a nie śmiałem się pytać. Dwóch szwajcarów zaprowadziło mnie

do pomieszkania pana prefekta, gdzie miałem oczekiwać na przybycie jego.

Długo to trwało, zanim obszedł prefekt wszystkie klasy, poczem zwykle zachodził jeszcze na kawę do pani Januszewskiej. O godzinie 9-tej dopiero doczekałem się jego przybycia, rozebrał się i kazał mnie wprowadzić. Gdym wszedł, odzywa się do mnie: »Co to ty nequam — było to jego przysłowie — zapomniałeś, o co to mnie twój ojciec prosił? — chodźno tu bliżej, a gdzie guzik?« Wylękniony — patrzę — brakuje guzika u surduta. »Pamiętaj, że ja pełniąc wolę ojca, za wszystko, co tylko zobaczę zepsutego, lub brudnego, zaraz poprowadzę cię do niedźwiedzia, nauki i lekcyje swoją drogą, nequam, a porządek, czystość, obyczajność — poszanowanie starszych swoją drogą nequam«. Wnet dwóch szwajcarów, wzięwszy mnie pod rękę, wprowadzili do drugiego pokoju, na środku którego stał długi stołek, przykryty skórą niedźwiedzia, i anim się opatrzył, jak rozebrany leżałem już na niedźwiedziu, a pan prefekt z różgą w ręku przemawia: »Na pierwszy raz, dostaniesz tylko pięć, a pamiętaj nequam, że za każdą razą będę zwiększał porcyę. Staraj się więc niewiedzieć więcej, nequam, niedźwiedzia«, a szwajcar szepcze, pocałuj w rękę, pocałowałem, pogłaskał po głowie i odszedłem. Od tej pory zdarzało się nieraz, że w jednym dniu i na niedźwiedziu się przejechało i na stancyi młodszy opiekun udzielał bolesnej admonicyi, a każdą razą zwiększano jej ilość. Jednego dnia po takiej operacyi sam nie wiedząc, za co byłem ukarany, zapytuję pana Olejnicza, za co mnie bito? W odpowiedzi pan dyrektor, powtarza admonicyę, i dopiero odpowiada: »oto za to słowo, za co. Od tej pory — nigdy już nie byłem ciekawy, za co mię

karano. Przyjechawszy do domu na wakacje, matka, która mnie jako najmłodszego bardzo pieściła, kazała zaraz zrobić kąpiel, a pilnując, żebym się dobrze wymył, ujrzała ślady odbieranych razów, i przełknięta, zaczęła dopytywać się, co to takiego, i chociaż pamiętałem dobrze — wpajaną nam maksymę — »żeby cię pieczono i smolono w smole, nie gadaj, co się dzieje w szkole«, ale na prośby wylężnionej matki przyznałem się, skąd te ślady pochodzą. Ochroniło mnie to od domowej ojcowskiej admonicyi za to, że nie dostałem promocyi do 2 klasy. Matka tak przekonująco przemawiała do ojca, że skończyło się tylko na pogroźkach. Będąc od dzieciństwa bardzo wątłym i chorowitym, dużo w pierwszym roku musiałem opuszczać lekcyi, za to na drugi rok dostałem promocyę z listem pochwalnym. Wydoskonalilem się przysięgą w grze w piłkę, tak że zwróciłem tem uwagę naszego kuratora Tadeusza Czackiego, który często przed kościołem grywał z nami w piłkę. Zapytuje on mnie o nazwisko, a nie wymawiałem wówczas litery *r*, zamieniając ją literą *i*. Po kilkakroć musiałem je wymawiać, zanim się domyślił Czacki rzeczywistego mego nazwiska i polecił mi koniecznie wyuczyć się prawidłowego wymawiania, o czem nie zapomniał, oddając mi w czasie publicznego egzaminu list pochwalny. Ale dopiero w klasie czwartej udało mi się zwyciężyć tę wadę mojej wymowy i to skutkiem następnego zdarzenia: Przyjechawszy do domu do Zalisiec na wakacje, zwykle co niedzieli i święta jeździliśmy do kościoła do Wiszniowca. Mieszkał tam doktor Walner, który miał córkę Maryę. Siostry moje, żartując, prześladowały mnie, że się w niejkocham. Ona to posłyszawszy, odzywa się do mnie, jakżebym mogła kochać tego, który nawet swego nazwiska wy-

mówić nie umie. Tak mnie to dotknęło, że ja w uniesieniu, zaprzeczając, po raz pierwszy wymówiłem prawidłowo swoje nazwisko, i odtąd już wymawiałem dobrze literę *r*. Na rok następny już mnie matka nie puściła samego z ojcem, ale sama pojechała odwiedzić mnie do szkół. Ulokowali mnie na drugiej kwaterze u pana Kapuścińskiego, a dyrektorem miałem pana Małeckiego, nie tak srogiego jak Olejnicz. Była matka i u pana prefekta, co musiało się przyczynić, że nie byłem już karany, ale za to często chorowałem, co mi bardzo utrudniało naukę. Na rok trzeci znowu odwiozła mnie matka razem z ojcem do Krzemieńca i ulokowano mnie u państwa Morawskich, gdzie miałem już lepsze wygody. Kwaterowałem razem z Pruszyńskim, Ostaszewskim, Mężyńskim. Spirydjon Ostaszewski, późniejszy autor »Piu kopy karok«, zamiłowany w języku małosyjskim, w szkołach jeszcze pisywał w tym języku dumki i kazki i nam je odczytywał. Był on w przyjaźni z Pruszyńskim Pawłem, który także pisywał udane wiersze. Ostaszewski i z kolegami najczęściej rozmawiał po małosyjsku i odznaczał się dowcipem, jedno z jego powiedzeń do zarozumiałego kolegi: »Wełyka dywo, szczo ty mudryjszyj od durnyjszoho — ałe bud! ty mudryjszyj od mudroho — to i ja skażu szczo ty mudrys«, tak się wszystkim podobało, że je każdemu zarozumiałemu zawsze powtarzano.

W maju miesiącu mocno zachorowałem. Doktorem gimnazjalnym był Majewski. Oprócz niego było jeszcze dwóch doktorów w Krzemieńcu: Witkowski i Rautenberg, a i sławny doktor Lernet często przyjeżdżał z Dubna. Tych czterech wezwano do mnie niebezpiecznie chorego, długo radzili między sobą, i przepisali mi kilka lekarstw, każąc brać je akuratnie.

Z początku sama pani Morawska akuratnie dawała mi je, ale po kilku dniach, przestała tak bardzo mnie pilnować. Było to latem, okno było otwarte, i przez nie słyszę, ubolewania kolegów nademną, że ja żyć nie mogę, i że wedle decyzji lekarzy najdalej we czwartek żyć przestanę. Robili już plany, jak mnie będą chować, ja to wszystko wysłuchałem i z wielką trwogą oczekuję tego fatalnego czwartku, a lekarstwa, jako już zbyt ciężkie, wylewam po trochu za okno. Tymczasem przeszedł czwartek i piątek i ja nie umarłem, a wyzdrowiałem i przeżyłem wszystkich czterech doktorów. Za czasów mojej bytności w Krzemieńcu kuratorem liceum był Tadeusz Czacki, uczony, pracowity, obdarzony niepospolitą pamięcią, prawy obywatel, całą duszą oddany dobru kraju i społeczeństwa. Wiele on się przyczynił, do wykształcenia młodzieży, będącej pod jego opieką, na prawych, użytecznych obywateli kraju. Zasługi jego, niejednokrotnie były już ocenione i opisane, ja chociaż za czasów jego byłem jeszcze dzieckiem, ale pamiętam różne opowieści o jego dystrykcyi szczególnie. Jak naprzykład, będąc raz na audyencyi u cesarza Aleksandra I. w oczekiwaniu takowej, zmuszony był wyjść do ustępu, a spiesząc się bardzo, zamiast stosowanego kapelusza, wziął pod pachę nakrywkę od naczynia i z tą wszedł do sali audyencyonalnej, albo jak przyjmował u siebie w Porycku panią gubernatorową Giżycką. Przed jej przyjazdem — w szlafroku, zajęty był pisaniem, gdy wtem dają mu znać o przyjeździe oczekiwanej. W pośpiechu, wkłada coprędzej mundur na siebie, zapomniawszy o dolnem odzieniu i tak wychodzi na jej spotkanie. Pani gubernatorowa przestraszona zwraca się, ucieka, on goni za nią, aż ktoś zwrócił jego uwagę, na niekompletny

strój. Albo jak raz jadąc nocą saniami, tak silnie usnął, że się nie budził, wyleciawszy z nich i o parę wiorst dopiero furman dopatrzył się swojej zguby, a wróciwszy po nią, zastał go, śpiącego na środku drogi. Dyrektorem liceum był Józef Czech, ale prędko przy mnie umarł. Prefekt Antoni Jarkowski był srogi i wymagający, bali się go uczniowie, ale szanowali, bo był sprawiedliwy. Jednakże jak kogoś nie lubił, to zawzięcie prześladował i ten już często widywał się z niedźwiedziem. Jeden z takich, Paulin Żegocki, mszcząc się na prefekcie za odbierane razy, w czasie publicznych egzaminów na drzwiach wchodowych liceum napisał wiersze: »Spalę Krzemieniec, zniszczę jego ziemię, wygubię Jarkowskich przekłete plemię« i podpisał się Antoni Jarkowski«, tak naśladowując charakter jego pisma, że nie sposób było je odróżnić. W pierwszych 4-ch klasach nauczycielami byli: Olędzki języka łacińskiego, lubił się zawsze modnie ubierać, ale od uczniów nie był lubionym, Malacki, języka niemieckiego, który dobrze wykladał i był lubiony i szanowany przez uczniów, Strzelecki wykladał język rosyjski i arytmetykę razem. Był to wielki śledziennik i pedant, złośnik i srogi bardzo, nieraz całej klasie każe klęczeć przez całą lekcję. Nie lubili go też wszyscy. Jednemu uczniowi klasy 3-ciej każąc klęczeć, powiedział mu: »Będziesz klęczeć, dopóki mnie kolana nie zabolą. Ten nie mógł mu darować tego złośliwego żartu i gdy ten schodził ze schodów, nieznacznie z tyłu podstawił mu nogę, a gdy Strzelecki upadł, zapytał go, »A co zaboląły pana profesora kolana?« Język francuski wykladał Francuz Lefort, któremu jako cudzoziemcowi uczniowie jak zwykle różne figle wyrabiali. Tak naprzykład wyjdzie jeden z klasy i wywołuje drugiego, ten 3-go tak, że wkońcu cała klasa wyjdzie, zostawiając

samego nauczyciela. Latem pootwierają okna w klasie do ogrodu i zaczyna się naśladowanie śpiewu ptasząt. Lefort każe zamykać okna, śpiew ucicha, ale powoli zaczyna się tak wzmacniać, że niecierpliwiony nauczyciel wychodzi z klasy, narzekając na ptaszki, które przeszkadzają robić lekcye. Wogóle języków trudno się było nauczyć w klasach, ale byli domowi nauczyciele, jak Madejski francuskiego, Witwicki niemieckiego. Naukę religii wykładał X. Chlebowski i był razem kapelanem. Codziennie przed lekcjami słuchaliśmy mszy św., a w niedzielę i święta zwykle miewał kazanie sławny kapucyn X. Prokop. Był jeszcze X. Osiński, profesor literatury łacińskiej, bardzo uczony i godny kapłan. Na kursach wykładali inni profesorowie, ale ja na kursa nie chodziłem. Pamiętam tylko profesora mechaniki Zaliwskiego, z którym nieraz chodziłem do warsztatów stolarskich i on pokazywał nam i objaśniał różne modele, budynków gospodarskich, młynów, wiatraków. Była szkoła jeometrów, z której wyszło dużo zdolnych jeometrów, była szkoła fechtunków, nauczycielem której był Francuz Russel, atletycznej budowy i siły, nigdy zimą nie nosił futra. Uczył fechtować się obydwoma rękami, przerzucając pałasz z jednej do drugiej ręki. Jazdy konnej nauczycielem był Olszański. Nauczyciel botaniki Besser latem wykładał lekcje w ogrodzie botanicznym, bardzo starannie utrzymanym. Malarstwa i rysunków uczył Piczman z Wiednia przez Czackiego sprowadzony. Był także i konwikt, w którym za całe roczne utrzymanie, ze stołem, ubraniem i książkami płacono 400 złp. Do szkół krzemienieckich przyjmowano wszystkich bez wyjątku. Wielu obywateli oddawało swoich poddanych, z których powychodzili zdolni jeometrowie, mechanicy, ogrodnicy. Raz się zdarzyło, że ucznia 3-ciej klasy, mieszczanina zatrzymano na ulicy i uwięziono

dla oddania w rekruty. Cała klasa dowiedziawszy się o tem, uzbrojona w piasek i kamienie po kieszeniach, odbiła więźnia, zasypawszy stróżom oczy piaskiem i z tryumfem uprowadziła go. I przeszło to bezkarnie, bo nikt z tego żadnej sprawy nie robił. I ja także przyjmowałem udział w tej wyprawie. Nauczycielem tańców był Słuneczewski, który na podłodze rysował, jak tańczący mają trzymać nogi. Zawsze na lekcyi był ubrany w trzewiki, pończochy, koszulę z żabotami i we fraku. Byli nauczyciele muzyki, którzy uczyli grać na wszystkich instrumentach. Uczniowie w niedzielę i święta zwykle grywali na chórze podczas mszy św. Sławnym był skrzypek Lenzi, razem z Piczmanem sprowadzony przez Czackiego z Wiednia. Nadzwyczaj uroczyste były egzamina publiczne, na które licznie zjeżdżali się rodzice uczniów nie tylko z Wołynia, ale z Ukrainy i Podola, a nawet i z Litwy. Przez kilka dni w tym czasie u zamieszkałych w Krzemieńcu bywały bale i wieczory tańczące. Starsi uczniowie z kursów grupowali się w pewne korporacye i stowarzyszenia, w rozmaitych celach, jak dla wyrabiania siły fizycznej, hartowania się, przywykania do wszystkich niewygód i prywacyi. Nosili laski żelazne, zaczynając od pięciofuntowych i dochodząc do dwupudowych. W niepogodę chodzili bez czapek, sypiali na gołych deskach, nocowali pojedynczo na cmentarzach, jedli najwstrętniejsze rzeczy jak: myszy, szczury, koty, surowe zboże i rośliny. Dużo obywateli mieszkało stale w Krzemieńcu. Pamiętam Wacława Rzewuskiego, sławnego jeźdźca i amatora koni. Lubił on bardzo młodzież i często zapraszał do siebie i ugaszczwał. Parę razy byłem i ja na takich przyjęciach, które zwykle zaczynały się o godzinie 5-tej po południu w niedzielę i święta. Zwykle suto zastawiony był stół różnemi przekąskami, fruktami,

słodyczami — pokazywał nam swoje konie, zachęcał każdego uczyć się dobrze jeździć konno, strzelać, fechtować się, przyzwyczajając się do wszystkich niewygód, bo to wszystko bardzo się przydać może w życiu. Nad łóżkiem jego zawieszona była duża biała skóra końska. Opowiadał nam, że to skóra z arabskiej klaczy, która mu wiernie lat 9 służyła i że na siostrze jej we czwartek następny wjedzie na zamkową górę królowej Bony, w prostym kierunku, a nie okalającą ścieżką, którąśmy zwykle chodzili. Z niecierpliwością oczekiwaliśmy czwartku i gdy ten nadszedł, gromadnie zebraliśmy się, żeby zobaczyć ten tak niebezpieczny wjazd. W naznaczonej godzinie widzimy jadącego, przejechał potok i wjeżdża na górę, zwracając klacz to w prawo, to w lewo, ale ciągle podnosząc się coraz wyżej, aż dosięgnął samego szczytu góry. Ogromne brawa i okrzyki napełniły powietrze, Rzewuski dał odpocząć trochę klaczy na górze i nie zsiadając z niej, tak samo zjechał na dół; brawa i okrzyki powtarzały się nieustannie. Gdyśmy się mieli już rozchodzić, jakiś staruszek, jakieśmy się później dowiedzieli, były rejent sądu powiatowego krzemienieckiego, odzywa się do nas: — Za co tu bić brawa, co to tak nadzwyczajnego — ja, kiedy przed laty archiwum było w baszcie zamkowej, to jak mi potrzeba było pilnie jakiego dokumentu, to na małym kucyku wjeżdżałem wprost, a nie zygzakiem, jak hrabia, i nikt mi brawa nie dawał i nie dziwił się temu. — Z uczniów krzemienieckich, którzy później zasłużyli sobie na głośne imię, był znany mi Tomasz Padura, który i po skończeniu liceum mieszkał w Krzemieńcu, trudniąc się adwokaturą. Zajmując się później interesami generała Bobra, częste miałem stosunki z Padurą, poruczając mu różne sprawy i procesa generała. Rzewuski wyjeżdżając

z Krzemieńca, zabrał z sobą Padurę i dość długo bawił on u niego, układając swoje sławne dumki, które teorbaniści wyśpiewywali. Wówczas bowiem był zwyczaj na Ukrainie i Podolu utrzymywać teorbaniistów po możliwych domach. Rzewuski był bardzo muzykalny i sam do niektórych dumek Padury komponował muzykę. Od Rzewuskiego udał się Padura w pieszą podróż po całej Ukrainie, przebrany za dziada-lirnika i przez lat parę chodził od wsi do wsi, a wchodząc do chaty, zwykle witał śpiewem:

Ne zurysja mij chozaju,  
Ne za datkom ja idu,  
Ot tak sjadu zaspiwaju,  
Widspiwaju taj pijdu.

Powróciwszy z tej wędrówki, Padura został aresztowany, ale po półrocznem uwięzieniu uwolniono go. Mieszkał jakiś czas w Machnówce, tłumacząc Bajrona, Mickiewicza na język małosyjski, ale prace te nie zostały wydrukowane.

W roku 1812, kiedyśmy się rozjechali na wakacje, nie kazano nam po skończeniu takowych wracać do szkół. Starszy brat mój Kazimierz był już na pierwszym kursie i pojechał na wakacje do Czetwertyńskich do Horyngrodu w powiecie Rowieńskim jako korepetytor. Ja rad byłem, że nie jadę do szkół; matka moja jak zaczęła mnie kapać, dobrze karmić, a co najwięcej świeże wiejskie powietrze tak mi pomogło, że wszystkie choroby ustąpiły. Czas schodził wesoło, odwiedzali nas sąsiedzi. W Wiszniowcu u Karmelitów była kapela — była więc na zawołanie muzyka, często w sąsiedztwie odbywały się wieczory tańcujące. Pamiętam, jak wuj nasz Stanisław Nieniewski wydawał swoją jedynaczkę Apolonię za sędziego krzemienieckiego, pana Klemensa

Strzałkę. Cóż to za huczne było wesele. Ślub odbył się w kaplicy pałacowej, poczem nastąpiły powinszowania i wiwaty. Po sutym obiedzie uprzątnięto dużą salę jadalną i zaczęły się tańce. Występuje szambelan Czesław Żytyński, Onufry Bośniacki, mój ojciec, sąsiad nasz Karwowski, wojski halicki, 80-letni kawaler, siwy jak gołąb. Wszyscy w kontuszach i żupanach, a Karwowski z instrumentem zwanym »amorką«. Jest to rodzaj skrzypców o 14-tu strunach, na których gra się smyczkiem. Zaczyna się polonez, Karwowski z lampką z winem na głowie, po skończonym tańcu klęka przed swoją damą i wypija jej zdrowie. Takiego drugiego wesela już więcej w życiu mojem nie widziałem.

Kiedy po roku 1812 zostało liceum krzemienieckie znowu otwarte, ulokowali mnie rodzice u ciotki szambelanowej Czesławowej Żytyńskiej, mieszkającej w Krzemieńcu z synami Józefatem, Augustynem i Konstantym. Najstarszy był na jednym kursie z moim bratem Kazimierzem, a najmłodszy Konstanty ze mną w jednej klasie. Raz na wiosnę poszedłem z kolegą Cieszkowskim na zamkową górę. Zastaliśmy tam Piotra Dziekońskiego i Mrozowskiego. Zwykłą zabawą na zamkowej górze było rzucanie kamyków do nadzwyczaj głębokiej murowanej studni. Zdrowaś Marya można było zmówić, nim kamyk do dna doleciał; któryś z nas zaproponował, żeby rzucać kamyki do płynącego u podnóża góry strumyka, czy będą odskakiwać od wody. Zaczęli się zbierać widze, przypatrujący się naszej zabawie; narzucawszy dosyć kamyków, poszliśmy na Czerczą górę. Po drodze spotykamy kilku kolegów, między którymi Konstantego Żytyńskiego. Ten mówi do mnie — to i ty rzucałeś kamienie do potoku i zabiliście jedną z dziewcząt piorących bieliznę; już policya was szuka. Ledwie

to powiedział, aż zjawiają się policyanci i prowadzą nas wszystkich do prefekta. Nie chcąc, aby niewinni odpowiadali za nas, przyznaliśmy się, że to tylko nas pięciu rzucało kamyki. Zapakowano nas do kozy, w której przebyliśmy dni dziewięć, a dziesiątego nas wypuszczono, gdyż okazało się, że dziewczyna nie umarła, a była tylko skaleczoną. Było to przed samemi świętami wielkanocnymi, prosto więc z kozy pojechaliśmy do domu. Po powrocie jednak ze świąt jeszcze trzy dni powtórnie wysiedzieliśmy w kozie, zanim się ta sprawa skończyła.

Mój ojciec trzymając w Katerynburgu posesyę, traktował o nabycie na dziedzictwo wsi Kurowca z Teofipolskiego klucza, za którą dawał 120.000 złp., żądano 124.000 złp. i kupno nie przyszło do skutku. Wziął więc dużą posesyę od hr. Wandalina Mniszcha, wieś Zalisce, 200 chat, za którą płacił rocznej renty 26.000 złp. Na komisarza przyjął Morawskiego, a synów jego, jednego na ekonoma, a drugiego na propinatora. Ci tak dobrze gospodarowali, że po kilku latach ojciec stracił cały kapitał, zadłużył się i całą fortunę trzeba było oddać pod rozbiór dla zaspokojenia kredytorów. Z całej fortuny pozostała tylko suma posagowa mojej matki 12.000 złp., ulokowanych u hr. Cecylii Ożarowskiej. W procencie od niej oddano ojcu w Horynce koło Krzemieńca dworek, ogród, pole i sianożęć z dwoma poddanymi, a że w tejże Horynce Karwowski, wojski halicki, miał dożywocie na części z sześciu poddanymi, więc i tę wziął ojciec w posesyę. Nie było już za co oddawać nas do szkół. Brat mój Kazimierz, będący na kursach, mając korepetycye, mógł już o własnych siłach skończyć liceum, ja pozostałem w domu dopomagać ojcu w gospodarstwie. Przez lat kilka nauczyłem się każdej roboty: orać, siać, kosić, żąć, składać sterty i to mi się

później bardzo w życiu przydało, administrując cudzemi majątkami. W czasie tego mego oddania się gospodarstwu nabrałem sił i wzmocniłem zdrowie, ale dostałem wkońcu po całym ciele mnóstwo upartych wrzodów, których żadne lekarstwa nie mogły mnie pozbawić. Prześladowały one mnie półtora roku. Zdesperowana matka wypróbowałszy wszystkie środki, wezwała jakąś babę znachorkę. Ta kazała mi w pierwszy czwartek po nowiu przed wschodem słońca wykąpać się w stawie, zanurzając się trzy razy z głową. Było to w maju, wypełniłem akuratnie tę kąpiel i rzeczywiście do miesiąca wszystkie wrzody się pogoily i już więcej ich nie miałem.

---

## ROZDZIAŁ II.

Pobył mój u generała Bobra. — Podróż do Żytomierza. — Wysłanie pułkownika Argamakowa z najechanej przez tegoż Cze-  
polówki. — Nabycie Zahorowskiego klucza przez jen. Bobra od  
hr. Michała Czackiego. — Zamieszkanie moje w Zahorowie. —  
1-sze ożenie się. — Radeccy w Koziatynie. — Śmierć żony. —  
Wyjazd do Humania. — Powrót. — Dwukrotne moje aresztowanie.

Pewnego dnia przybył do moich rodziców w od-  
wiedziny wuj mój pan Klemens Strzałka, sędzia krze-  
mieniecki, mieszkający w majątku swoim Domanince.  
Był on później podkomorzym krzemienieckim i w sile  
wieku umarł. Ojca nie było w domu. Matka moja prosi  
go, aby mając tak liczne stosunki, wyrobił mi jakąś  
posadę, bo takie przebywanie w domu, przy małym  
gospodarstwie, przyszłości mi nie zapewni. Pan sędzia  
obieczał i rzeczywiście w tydzień przysłał umyślnego,  
żebym był gotów, gdyż ma już dla mnie zajęcie i wkrótce  
sam przyjedzie dla zabrania mnie. W kilka dni potem  
przyjechał za mną wuj, pożegnałem rodziców i siostry,  
matka mię pobłogosławiła, dała krzyżyk na piersi i rubla  
na drogę i wyjechałem z Horynki. Zabawiwszy parę  
dni w Domanince, 13 października 1819 roku pojechałem  
z wujem do Zahajec, do generała wojsk polskich Kaje-  
tana Bobra Piotrowickiego. Był on ślepy, gdy mnie za-  
rekomendował pan Strzałka jako swego krewnego, za-  
czął mnie rękami obmacywać i podobał się mu mój

wzrost. Mówi do mnie, że przyjmuje mnie do siebie, nie jako oficjalistę, ale jako krewnego swego blizkiego sąsiada, i jako rówieśnika swoich synów, z którymi jak się poznam, to mię połączą przyjazne stosunki z nimi. Po obiedzie wuj odjechał, a ja poszedłem rozlokować się w naznaczonej dla mnie kwaterze w oficynie. Wezwano mnie na herbatę i już zostałem z jenerałem do kolacyi. Przed tą przyjechał pan Paweł Molski z Nowosiółek, plenipotent jenerała, któremu zarekomendował mnie jako swego sekretarza i polecił mi być obecnym przy naradzie o interesach, starając się obznajomić z nimi. Narady te trwały do godziny 10-tej, po której razem z panem Molskim udaliśmy się na spoczynek. Na drugi dzień po herbacie ciągnęły się narady do samego obiadu. Przedmiotem ich był proces z Wolańskimi, ciągnący się od lat wielu, do którego wszystkie dokumenta i wyroki polecono mi przepisać jak najspieszniej dla wysłania ich do senatu. W tym celu udałem się z panem Molskim do archiwum i wydobyliśmy ogromny plik papierów, składający się z 700 arkuszy. Chcąc zyskać dobrą opinię u jenerała, wziąłem się do przepisywania od rana do wieczora i w nocy nawet. Po tygodniu takiej pracy dostałem tak silnego zapalenia oczu, że zupełnie pisać nie mogłem. Gdy się dowiedział o tem jenerał, posłał zaraz po doktora, a mnie dał porządną reprimendę, że chcę chyba oślepnąć tak jak on — że nad siły nic robić nie można. Ale od tej pory zyskałem sobie opinię bardzo pracowitego i gorliwego, której nie straciłem do samej śmierci jenerała. Z powodu różnych interesów jenerał potrzebował pojechać do Żytomierza i wziął mnie z sobą. Wyjechaliśmy z Zahajec sześciokonnym cugiem z forysiem, z kuchnią i kucharzem, w Luborze popasaliśmy; mieszkali tam wujowstwo moi Bośniaccy. Ona

sama była siostrą mojej matki, z domu Żytyńska. Jenerał polecił mi, żeby odwiedzając ich, niedługo tam bawić, bo po popasie zaraz odjedziemy. Nie znałem moich wujowstwa, bardzo serdecznie mnie przyjęli i zaprosili, żeby być u nich z powrotem z Żytomierza. Przyjechaliśmy do Żytomierza, w którym ja po raz pierwszy byłem i podobał się mi bardzo, bom większego miasta jeszcze nie widział. Nazajutrz jadę z jenerałem do gubernatora, Polaka, Giżyckiego; bardzo nas grzecznie przyjął i przy pożegnaniu zaprosił na dzień jutrzejszy na obiad. Byliśmy i u pana prezesa sądu głównego, który także zapraszał na obiad, ale jenerał się wymówił, mówiąc mi później, że dlatego, że ma złego kucharza. Na obiedzie u gubernatora było jeszcze dwóch wyższych urzędników, tak że razem w pięciu obiadowaliśmy, poczem podano kawę i fajki. Jenerał jej nie używał, ale tylko tabakę. Do wieczora zabawiliśmy u gubernatora, który na drugi dzień rewizytował jenerała na kwaterze. Po załatwieniu interesów wyjechaliśmy z Żytomierza na noc do Lubaru, gdzie ja już dłużej mogłem zabawić u moich wujowstwa Bośniackich i byłem u nich na kolacyi. Synowica jenerała, Justyna Bóbr, otrzymawszy z działu należną jej część, jak wówczas liczono, 300.000 rs. asygnacyjnych, co wynosiłoby obecnie 75.000 rs., wyjechała do Petersburga na mieszkanie i tam wkrótce zrobiła parę milionów długu. Kredytorowie jej: pułkownik Argamakow i kupiec Kabłakow, poszukując jej własności, zatradowali majątki jenerała Czepelówkę i Woskodawieńce w powiecie konstantynowski. Jenerał po długim procesie udowodniwszy swoje prawa, wyrobił ukaz senatu, nakazujący zwrot zabranych nieprawnie majątków. Ale ani sąd ziemski, ani policya nie egzekwowały tego wyroku, nie chcąc się

narażać pułkownikowi gwardyi. Jenerał miał dwóch synów, starszego Urbana, służącego wówczas w kawalergardzie w Petersburgu i młodszego Teodora, bawiącego przy nim. Otóż wyprawia mnie z Teodorem do Czepelówki, dając jak najszczegółowsze instrukcye, jakim sposobem mamy zmusić Argamakowa do ustąpienia. Było to w rok po moim przybyciu do jenerała. Jedziemy, popasamy długo na połowie drogi w Kółkach, żeby jak najpóźniej przybyć do Czepelówki. Rządcą w niej był wówczas niejaki Józef Komarnicki, stary kawaler, daleki nawet kuzyn Bobrów. Przybyliśmy po północy, wszyscy spali, budzimy Komarnickiego i idziemy z nim zaraz do stajni i 15 koni pułkownika wyprowadzamy na podwórze, a stajnie zamykamy na kłódkę i pieczętujemy, o czem zaraz umyślnym posłańcem, zawiadamiamy jenerała. Rano posyłamy do Argamakowa, prosząc o opróżnienie domu, który jest nam potrzebny, pułkownik stanowczo odmawia. Stosownie więc do danej nam instrukcyi, posyłamy po 50 włościan i każemy im rozbierać dach z domu i wyjmować wszystkie drzwi i okna, we dwie godziny rozkaz spełniony, pułkownik jednak z placu nie ustępuje. Drugi umyślny goniec zdaje raport jenerałowi. Odbieramy odpowiedź: »Widzę, żeście mazgaje i nie umiecie dać sobie rady, prędko przyjeżdżam i sam się załatwię z Argamakowem«. Z wielkim strachem oczekujemy tego przybycia, a tymczasem prośbą staramy się skłonić pułkownika do dobrowolnego ustąpienia, nic to jednak nie pomaga, śnieg pada, przejmujące zimno, a on siedzi w domu bez okien i drzwi. Wieczorem nadjeżdża jenerał i zaraz nakazuje, żeby przed wschodem słońca przybyło ze wsi 50 furmanek i 50 pieśzaków osobno. Przyjeżdżają, zabierają wszystkie ruchomości Argamakowa w domu i budynkach, pakują

na wozy i wywożą do Starokonstantynowa i tam wszystko to składają na rynku. Dopiero pułkownik, widząc, że niema rady, zabiera się z familią i sługami i opuszcza Czepelówkę.

Po tej egzykucyi jenerał wyjechał do Petersburga, a mnie wysłał na rządcę do Perekał, Odzmatkowa, Wojnicy, i części Kujahinina, majątków jego w powiecie dubieńskim. Miałem do pomocy trzech ekonomów, był rachmistrz Wierzbicki, pisarz Boboski. Zająłem się pilnie zarządem całego tego majątku, codziennie objeżdżając wszystkie folwarki, a jeden z nich w Dorostajach był dość odległy. Wyjeżdżając z Zahajec, miałem zaoszczędzonych z pensyi 1,000 złp., z których 50 rs. miałem u siebie, a 100 rs. na procencie u żyda, rzeźnika w Katerynburgu, Symchy, bez żadnej rozpiski. Uchodził on za bardzo uczciwego, płacił akuratnie procent i byłem spokojny. Wyjeżdżając z Zahajec, upominam się, żeby mi oddał. Najbezczelniej oświadcza mi, że nic mi niewinien, bo nigdy żadnych u mnie pieniędzy nie pożyczał. W Katerynburgu przy ekonomii była i policja. Rządca, znajomy mi Ślaski, udaje się do niego o pomoc. Radzi mi, aby wezwać żyda do przysięgi, a że oni mają podwójne przykazania, dla prawdziwej i fałszywej przysięgi, to on opieczętuje te co dla prawdziwej i żebym sam był obecny przy przysiędze. Pierwej jednakże, ja proponuję, abyśmy się zdali na sąd rabina. Symcha się zgadza, idziemy, wysłuchał stron obu i decyduje, aby oskarżony oddał mi 50 rs. Nie zgadzam się na to, utrzymując, że jeżeli mi winien, to powinien oddać wszystko, a nie połowę, i żądam, aby złożył przysięgę. Odbywa się takowa jak najuroczyściej, Symcha składa ją w śmiertelnej koszuli i przysięga, że pieniędzy nie pożyczał. Nie było żadnej rady. Sto rubli przepadło.

Nocowałem u pana Ślaskiego i na drugi dzień posyłałem po Symchę. Przychodzi. Mówię: No, nie mam pretensyi, 100 rs. przypadło, darowuję ci je, ale ty mi za to powiedz, jak ty mógł przysiąc? »Proszę pana — u nas w zakonie stoi, że ta tylko przysięga ważna, którą składa się samemu dobrowolnie, i jeżeli komu nie masz oddać, coś winien i nie możesz, a on cię wzywa do przysięgi, to jak przysięgniesz niesłusznie, to nie będzie grzechem, bo cię zmusili do przysięgi.« Podziękowałem Szymśce za tę daną mi naukę, która mię ochraniała przez całe życie, od innych może większych strat. Jenerał Bóbr z młodszym synem Teodorem wyjechał do Petersburga dla różnych interesów. Zbliżały się kontrakty dubieńskie. W kasie były znaczne leżące kapitały. Zaczęte już były pertraktacye, o kupno Zahorowskiego klucza we Włodzimirskim powiecie od hr. Michała Czackiego. Jenerał, nie mogąc sam wyjechać z Petersburga, przysłał syna Teodora, a mnie polecono pojechać i oglądnąć szczegółowo, mający się nabyć majątek. Z hr. Michałem Czackim byłem dobrze znajomy, kolegowaliśmy i nieraz graliśmy w piłkę na kościelnej galeryi. Plenipotentem jego był Andrzej Sołowski także kolega mój z Krzemieńca, razem z nim wyruszyliśmy na objazd wszystkich folwarków Zahorowskiego klucza, będących po większej części we władaniu zastawników, nieakuratnie wypłacających się. Hrabia z żoną z domu Piłichowską z Podola i z trzema córkami mieszkał w pałacu Boremelskim. Gdym wyjeżdżał od niego, prosi mnie, abym przy tej sposobności nastraszył nieakuratnych zastawników, żeby pośpieszyli z wniesieniem zaległości, które w razie niewypłacenia przez nich, przejdą w przekazie do jenerała. Z łatwością mi to przyszło, gdyż jenerał Bóbr, jako zawzięty proce-

sowicz postrachem był dla całej okolicy. Było wówczas na Wołyniu czterech takich głośnych procesowiczów: Alojzy Gostyński z Bilcza, senator Strojnowski z Horochowa i Rożyszcz, jenerał Korzeniowski z Kodni i Bereznego i jenerał Bóbr. Znałem ich wszystkich i nieraz byłem świadkiem poufnych narad Bobra ze Strojnowskim i Korzeniowskim. Z Gostyńskim jenerał miał wieloletni proces, o zabranie przez tegoż paru wołów z wozem i drwami na drodze. Wyrokiem senatu przysądżono z Gostyńskiego 368 rs., które ten zapowiedział, że za życia jenerała nie odda i dotrzymał słowa, nie zważając na to, że co miesiąc prawie podawane były prośby do różnych instancyi, a wreszcie nawet do samego cesarza o wyegzekwowanie przysądżonej sumy. Podobny proces, który się aż o senat oparł, miał jenerał o trzy kopy spasionej hreczki, z jednym szlachcicem z Jaworowiec, sąsiadem Woskodawiniec majątku jego. Po wielu latach i dekretach, przysądżono ostatecznie uzyskać z jenerała 400 rs. Uparł się on niewypłacać tej sumy, póki od Gostyńskiego nie odbierze i do końca życia nie zapłacił. Z panem Andrzejem Sokołowskim objechaliśmy cały majątek hr. Michała Czackiego, a nawet i schedę jego siostry Maryi, która była za Feliksem Czackim z Sielca. Miał on bowiem prawo spłacenia siostry gotówką, zostawiając przy sobie wydzielone jej majątki. Po naradzie z synem jenerała Teodorem, spłaciliśmy panu Trzebuchowskiemu zastawę na Zahorowie Starym i nabyliśmy wsie: Buszkowicze, Łuczkowicze, Oryszcze, Kremesz i część Zaszczytowa. Ostateczna umowa nastąpiła na kontraktach dubieńskich, w roku 1824, w której było wyrażone, jaką ilość, jakimi pieniędzmi należy wypłacić: rublami srebrnymi, literowanymi w otoku, dukatami holenderskimi ważnymi, sto-

sownie do tego, jakie umowy wypłat były zawarte z zastawnikami. Kasa była u mnie i całkowitą należność wypłaciłem, poczem przeniosłem się do Zahorowa dla wzięcia intromissy do nabytego majątku, odebrania z zastawu, zaprowadzenia gospodarstwa, rozliczenia się z possessorami w Buszkowicach, Łukowiczach i Oryszczach. Przez pierwsze dwa lata mego pobytu w Zahorowie, ani generał, ani żaden z jego synów nie byli w Zahorowie. To dało powód do rozmaitych pogłosek między włościanami, tak, że gdy przyjechał do mnie brat mój Kazimierz i w drodze zaczął się rozpytywać o mnie, to mu powiedzieli, że tu do nas przyjechał jakiś turek, powypędzał zastawników i mówi, że on te majątki kupił dla generała Bobra, ale to musi być nieprawda, bo od dwóch lat nikt z nas tutaj tego dziedzica nie widział. W sąsiedztwie Zahorowa we wsi Koziatynie mieszkali państwo Radeccy. Sama pani podczasyna Ewa Radecka, wdowa, miała czterech synów: Kazimierza, Józefa, Macieja i Jana i jedną córkę Martynę. Często bywałem w tem domu i poznawszy bliżej pannę Martynę, oświadczyłem się o jej rękę, zostałem przyjęty i w lutym 1826 roku odbył się nasz ślub i zamieszkaliśmy w Zahorowie. Generał po dość długim pobycie w Petersburgu powrócił z synami do Zahajec. W Żytomierzu odbywały się wybory i obydwóch jego synów wybrano na marszałków powiatowych, Urbana w dubieńskim, Teodora w krzemienieckim powiecie. Teodor był już żonaty z Joanną Morżkowską, Urban ożenił się później z Klementyną Ryszczewską z Żukowiec. Ślub odbył się w Krzemieńcu, byłem na nim. Dużo było zaproszonych nietylko z Wołynia, ale z Podola i Ukrainy, wszyscy się zjechali na naznaczony dzień ślubu, tymczasem jak

przystąpiono do przedślubnej intercyzy, rodzice nie mogli się z sobą zgodzić przez dni parę i goście zaproszeni musieli czekać. Wesele było bardzo wystawne, ale bardzo prędko po nim, zachorował pan młody i trzy-nastego dnia życia zakończył. Ja z żoną mieszkałem w Zahorowie, miała ona w posagu daną sobie część w Chobułtowie pod Włodzimierzem. Radeccy, oprócz Koziatyna i części Chobułtowa, mieli jeszcze w Rado-myńskim powiecie kijowskiej gub. część Kaczorowa; razem z sędzią włodzimirskim Kozłowskim zrobiłem dział między niemi. Najmłodszy z Radeckich Jan był asesorem od wyborów. Wówczas bowiem cały sąd ziemski, sprawnik, 4 assesorów, sekretarz, cały sąd powiatowy, marszałek, chorąży pomocnik jego, sąd główny cywilny i kryminalny wszyscy urzędnicy takowych byli od wyborów, gubernator tylko, — kazienna i kontrolna Pałata, urzędnicy kaznaczejstwa byli przez rząd mianowani.

W Chobułtowie pobudowałem dom, zabudowania gospodarcze, i często z żoną dojeżdżaliśmy tam z Zahorowa. Cztery lata mego pożycia z pierwszą żoną do najszcześniejszych w mem życiu zaliczyć mogę. Jedyłą jej myślą i staraniem było, uprzyjemnić mi każdą chwilę życia, nigdy najmniejszego nieporozumienia między nami nie było. Ciągłe miała ona przecucie, że macierzyństwa nie przeżyje, i rzeczywiście sprawdziło się to w czwartym roku naszego pożycia. Cały przebieg słabości, odbywał się jak najprawidłowiej, ciągle była zdrową, zawczasu sprowadziłem akuszerkę, zamówiłem doktora w Porycku. Pojechaliśmy do matki do Koziatyna, powróciła najzdrowsza i kiedy usnąłem po obiedzie, przebudza mnie jej stękanie, zrywam się i zastaję ją klęczącą i modlącą się. Zapytuję, co jej jest, uskarża się na ból

krzyżów. Przychodzi akuszerka, położyliśmy ją do łóżka, posłałem konie po doktora, sam siedzę koło niej, zażądała wody, poszedłem po nią, wtem słyszę krzyk służącej: »Pani skonała«. Wpadam i zastaję ją martwą! Małom nie oszalał z rozpacz! Wyszedłem bezprzytomny z domu i bezwiednie zaszedłem o wiorst kilka do Koltouny do sędziego Kozłowskiego. Na pogrzebie być nie mogłem, pogrowali ją bracia w Horochowie w grobie ojca. Z umarłej już wydobył doktor syna z pękniętą główką. Postawiłem jej nadgrobek i ile razy przejeżdżam przez Horochów, odwiedzam jej grób. Nie mogłem już mieszkać w Zahorowie i przeniósłem się tymczasowo do Łukowicza, a większą część rzeczy wysłałem do Buszkowicza, gdzie był większy i porządniejszy dom i gdzie miałem stale zamieszkać. Ale zanim się tam przeniósłem, spalił się dom i wszystkie moje ruchomości. Do Zahorowa, który z działu wypadł na schedę Urbana, przeniósł się generał Bóbr i zabrał z sobą z Zahajec jedną muzykę z 12-tu muzykantów złożoną, zostawiając tam drugą taką samą. Dla dwóch bowiem synów, były sformowane dwie kapele. Ja długi czas, by rozerwać moją boleść po stracie żony i syna, ciągle gdzieś wyjeżdżałem, odwiedzając to rodziców w Horynce, to krewnych. Powoli czas złagodził moje cierpienia, zacząłem zajmować się interesami, mieszkałem w Łukowiczach, ale najczęściej przebywałem w Zahorowie. Pewnego dnia w czasie obiadu usłyszeliśmy dzwonek pocztowy i zajeżdża pod ganek Teodor Bóbr i Jan Świdziński, dawny rządca z Nosowicz. Po obiedzie wywołuje mnie generał do drugiego pokoju i powiada: »pewno przyjechali pożyczyć pieniędzy, jak się będą pytać, czy są w kasie, powiedz, że nie wiesz«. Rzeczywiście marszałek zaczyna mnie indygować o stan kasy. Ale Świdziński oświadcza

jenerałowi, że jest umocowany od hr. Aleksandra Potockiego, właściciela Humańszczyzny do zaciągnięcia pożyczki w wysokości pół miliona złotych. Że hrabia za granicą i dla tego jego upoważnił. Syn gorąco popierał Świdzińskiego. Jenerał zgodził się pożyczyć 200.000 zł., tłumacząc się, że więcej niema, do mnie zaś odzywa się: »Pojedziesz Panie Janie do Humania, zawieziesz tę sumę i weźmiesz rewers, a że ewikcyja pana Aleksandra dobra, to oblatowywać rewersu nie potrzeba, droga się psuje, trzeba bezzwłocznie jechać. Pojechałem do Łukowic dla przygotowania się do drogi i tegoż dnia powróciłem i na drugi dzień rano dwoma saniami wyruszyliśmy. Ja z 30.000 rs. w złocie i srebrze jednemi saniami, a Świdziński z marszałkiem drugimi, przez Perekale do Krzemieńca. Było to w 1830 r. W Warszawie wybuchła rewolucya, przytem cholera grasowała okropnie, wszędzie po wsiach ustawione były warty, zatrzymujące przejezdnych. W Krzemieńcu wydali nam świadectwo, że jedziemy z miejscowości, w której niema epidemii. Marszałek Bóbr pozostał, a ja ze Świdzińskim jednemi już saniami przez Zahajce i Czepelówkę skąd już pocztą do Nosowiec, gdzie dzień odpocząwszy, pojechałem do Humania, zdałem pieniądze i wziętem rewers. A że koło Humania była tak blisko sławna swym ogrodem Zofijówka, zatrzymałem się jeszcze dni parę, aby te cuda obejrzeć. Rzeczywiście nie mogłem wyjść z podziwu widząc te różnorodne groty, statuy, sadzawki z łodziami, wodotryski. A cóż to za różnorodność drzew; całe skały ręką ludzką przeniesione i w ogrodzie ustawione. Po oglądnięciu tych cudów wróciłem do Nosowiec, skąd pojechałem do Nehworoszczy, majątku będącego także w posiadaniu pani Bóbr, a wypuszczonego w posesyę Kowalskiemu porucznikowi wojsk polskich

w spółce z byłym sędzią Dunajewskim. Majątek ten jako starostwo na lat 50 nadane było przez Stanisława Augusta Morzkowskiemu i w spadku po nim dotrzymywała córka pani Teodorowa Bóbr. Z Nehworoszczy razem z rządcą Wojciechowskim pojechałem do Berdyczowa. Przenocowawszy, wchodzi rano gospodyni i objawia nam, że dwóch żołnierzy postawiono u naszych drzwi, żeby na nas strzegli. Wtem otwierają się drzwi i wchodzi pan policmajster i zaczyna indygacye, skąd jesteście i po co przyjechali, kto tu zna nas w mieście, i ponieważ nie miałem paszportu a tylko świadectwo z komitetu cholerycznego, pan policmajster zaprosił mnie z sobą do policyi. Tam przybyło dwóch jakichś oficerów i zaczęli nowe indagacye, z których przekonawszy się, że nie jestem jakimś podejrzanym i niebezpiecznym człowiekiem, puścili mnie swobodnie. Czempędzej wyruszyłem z Berdyczowa na noc do Lubaru. Tam powtarza się ta sama historia. Znowu dwóch aniołów stróżów postawiono nam u drzwi dla pilnowania mnie. Czekam do południa nikt nie przychodzi, posyłam do asesora, odpowiada, że sam przyjdzie, noc nadeszła, niema go, spać nie mogę, rano znowu posyłam, obiecuje swoją bytność i dopiero na trzeci dzień przychodzi. Zapytany o paszport pokazuję świadectwo, uważa je za niedostateczne i objawia mi, że zmuszony jest pod eskortą wysłać mnie do Żytomierza do gubernatora. Nic nie pomagają perswazye moje, że świadectwo to było wystarczające w Berdyczowie. Wreszcie mówię mu, że gubernator osobiście jest mi znajomy, że razem z nim jeździłem do Poczajowa, razem obiadowaliśmy u marszałka, więc mię uwolni. Wtem wchodzi znajomy mi obywatel Weleżyński i zapytuje co to jest. Dowiedziawszy się, że mnie chcą aresztować, odprowadza na bok

asesora i porozumiawszy się z nim, wyjaśnia pomyłkę, jaka zaszła. Poszukiwanym był i kazano go aresztować Maurycy Turkuł, były prezes kijowskiego sądu głównego i za niego mnie wzięto. Za poręczeniem Weleżyńskiego zostałem nareszcie uwolniony i tejże chwili wyjechałem do Czepelówki, skąd zajechawszy do brata Kazimierza mieszkającego w Teofipolu, przybyłem do Zahajec i Krzemieńca, gdzie się znajdował generał Bóbr. Oddałem mu rewers i zdałem relację z całej podróży.

### ROZDZIAŁ III.

Rok 1831. — Cholera. — Śmierć generała Bobra. — Wejście jen. Dwernickiego do Porycka. — Powstanie włodzimierskie. — Dwukrotne aresztowanie marszałka Bobra. — Emigracya moja do Galicyi. — Całoroczny tam pobyt. — Powrót na Wołyń. — Dział familijny. — Pobyt mój w Zahajcach. — Panna Józefa Padareńska. — Jej słabość, jasnowiedzenia jej i śmierć. — Wyjazd Bobrów za granicę. — Rok głodu. — Moje powtórne ożenienie. — Powrót Bobrów do kraju. — Nieporozumienia między nimi i rozejście się ich. — Przyjęcie przezemnie zarządu dóbr pani Bobrowej. — Wyjazd jej za granicę z córkami.

Rok 1831 był bardzo ciężki dla Wołynia. Wejście Dwernickiego, bitwa pod Boremlem, rejterada jego do Galicyi, silna epidemia cholery, dużo ofiar i klęsk spowodowały. W powrocie moim z Humania zatrzymawszy się w Krzemieńcu, odwiedziłem zamieszkałego tam brata ciotecznego Józefata Żytyńskiego, syna szambelana Czesława. Od niego dowiedziałem się o bolesnych stratach, jakie mnie dotknęły w czasie mej podróży do Humania. Ojciec mój mieszkając zawsze w Horynce dostał cholery i umarł, a we dwanaście dni potem, matka moja, która była już na wyjeździe do mnie także życie zakończyła. Pogrzeb odbył się beze mnie, gdyż cholerycznych kazano pośpiesznie chować. W Katerynburgu na cmentarzu złożono ich zwłoki, gdzie później postawiłem im nagrobek. Wyjechawszy z Krzemieńca, zatrzymałem się

na noc w Perekalach, skąd na drugi dzień pospieszyłem do Zahorowa i Łukowicz. We dwa dni po moim powrocie przysyłają z Zahorowa, że generał powrócił i mnie wzywa. Gdym przybył do niego, odezwał się: »Nie przybliżaj się do mnie, bo ja dostałem cholery w Krzemieńcu po twoim wyjeździe, Ignacy kredencierz zachorował i bardzo prędko umarł, natychmiast wyjechałem i w Perekalach już poczułem początki słabości, a teraz coraz gorzej«. Było to 1 kwietnia, dzień był pogodny, podano herbatę, generał kazał grać muzyce. Nadjeżdża szwagier mój Jan Radecki, asesor do wyborów, pijemy razem herbatę, wtem wchodzi do pokoju oficer kargopolskiego pułku X. Oboleński, któremu rano tegoż dnia sprzedałem owies dla pułku, który na furach pod eskortą 6 żołnierzy stał koło karczmy. Widzę, że Oboleński bez pałasa ogromnie zmieszany, zapytuję o przyczynę, odpowiada mi, że pułk jego rozbity przez Dwernickiego, jak mu o tem donoszą. Wtem posłyszeliśmy strzały, krzyk i hałas, widzimy że dwóch ułanów polskich poprowadzili fury z owsem i rozbrojoną eskortę, a trzeci konno wjeżdża na dziedziniec i żąda, aby Oboleński wyszedł i poddał się. Generał bardzo osłabiony położył się do łóżka, ja namawiam Oboleńskiego, aby przez parapetowe drzwi wyszedł do ogrodu i tam się ukrył, ale nie zgadza się na to, w końcu wychodzi i oddaje się dobrowolnie w ręce ułana, który poprowadził go z sobą, ale wyjeżdżając z dziedzińca, spotyka drugiego oficera rosyjskiego jadącego konno. W jednej chwili przeszywa go lancą i ten spada z konia. Wybiegliśmy z Radeckim, podjęli ranionego, obwiązali mu ranę i waleczny ułan obydwóch poprowadził przed sobą do Porycka. Jakiśm się później dowiedzieli Dwernicki odesłał ich do Zamościa, skąd ich uwolniono i później

przyjeżdżali do Zahorowa rekwirować zabrany im owies i poniesione straty.

Jenerał czuł się coraz gorzej. Posłałem do Orachowa po doktora Cymernana. Chory przeczuwał swoją śmierć, mówił o niej naspokojniej, polecił mi pożegnać syna, synowę, wnuczki Ludwikę i Zofię i powiedzieć, że przesyła im swoje błogosławieństwo. Nadszedł doktor, wyegzaminował i objawił, że niema żadnego ratunku, że śmierć prędko nastąpi i że trzeba jak najprędzej chować zmarłego, obwinąwszy ciało w prześcieradło zmoczone w dziegciu, nie dopuszczać ludzi, żeby zaraza się nierozprzestrzeniła. Zatrzymałem go, aby pozostał, nie zgodził się i prędko odjechał. Zdesperowany poszedłem do gorzelnii, wykąpałem się i zaszedłem do mieszkania rachmistrza Norberta Łapińskiego wypocząć trochę. Posyłam lokaja Eliasza dowiedzieć się jak się ma chory. Donosi mi, że jest lepiej, że usnął, a przebudziwszy się kazał sobie podać łyżkę rabarbarum i kazał nie budzić siebie jak zaśnie. Pocieszyła mnie ta wiadomość, obwinałem doktora, że mnie napróżno straszyl i położyłem się spać. Przebudziwszy się, posyłam znowu dowiedzieć się jak się ma jenerał, powiadają, że śpi, czekam godzinę, jeszcze śpi, wreszcie idę sam z Łapińskim, śpi, wchodzimy na palcach do pokoju chorego, uderza mnie bladeść twarzy, zbliżam się, chrząkam, kaszlę, nie porusza się, wreszcie przekonywamy się, że już nie żyje.

Bezwzględnie dopełniłem wszystko wedle instrukcyi doktora, posłałem do Zahorowa zamówić księży, do Konniuch do proboszcza, żeby wszystko przygotował do pogrzebu na dzień następny. Zrana na drugi dzień przybyli Bazylianie z Zahorowskiego Monasteru, odśpiewali nabożeństwo, karawan był przygotowany i odwieźliśmy

ciało do Koniuch, gdzie po nabożeństwie w kościele złożyliśmy w cmentarnej kaplicy, w której później kazałem zrobić ołtarz, żeby co roku mogło się odbywać żałobne nabożeństwo. Wracając z pogrzebu zajechałem do Zahorowa, żeby zostawić dyspozycję rachmistrzowi Łapińskiemu, przed domem dowiaduję się, że on już dostał cholery i prosi, abym do niego nie wstępował.

Powróciłem do Łukowicz i na drugi dzień dowiaduję się, że Łapiński już nie żyje. Umarł i ksiądz Bazylianin co eksportował generała, umarło kilka ludzi na wsi, a wiele bardzo odchorowało. Posłałem umyślnego do Zahajec zawiadomić syna generała i przez dni 14-cie nie mogłem się doczekać odpowiedzi. Posłany musiał wiele wsi omijać z powodu cholery, to wojsk przechodzących, gdyż generał Dwernicki z Porycka szedł ciągle ponad granicą austryacką i w Kołodnym w krzemienieckim powiecie przeszedł do Galicyi. Generał Rydygier ciągle za nim postępował. Posłaniec przywiózł mi z Krzemieńca od marszałka Bobra odpowiedź, że sam przyjechać nie może, żebym radził sobie jak mogę, że żonę z dziećmi wysłał za granicę, a sam na urzędzie tak zajęty, że nawet do Zahajec dojechać nie może. Mnóstwo obywateli zaczęło wyjeżdżać do Galicyi. Zebrany przez Ludwika Stukiego z Pawłowicz oddział powstańców, przeszedł do Galicyi. Zebraną na narady szlachtę we Włodzimierzu, w domu Tarkowskiego, otoczono wojskiem i podpalono dom, Piusa Czarnońskiego, złapanego z bronią w rękę, rozstrzelano we Włodzimierzu. Przestрах ogarnął wszystkich. Zamknąłem dom w Zahorowie, służbę, muzykę, srebra i co kosztowniejszego wyprawilem do Zahajec i sam jadę do Krzemieńca. W Perekałach nocuję, wtem ktoś puka do okna, budzę się, pytam, kto, odpowiada mi, że jest posłanym do Za-

horowa, przez marszałka Cieszkowskiego, który był w Zahorowie i kazał mnie uprzedzić, abym nie wracał, bo spotka mnie to co Czarnołuśkiego. Kazałem zaprządz konie i wyjechałem do Krzemieńca. W każdej niemal wsi widoczne były ślady przejścia wojsk. Wszędzie dachy pozrywane, płoty popalone. Zajeżdżam w Krzemieńcu do domu Będzińskiego, gdzie mieszkał marszałek, nikt nie wychodzi. Stukam, pokazuje się kamerdyner Adamowski. Zapytuję, jest marszałek? Niema, parę dni temu wywieziono go z żandarmami do Żytomierza. Zgłodniały wysiadam, rozpakowuję się i tylko co podano mi jeść, ktoś z dzwonkiem zajechał pod dom. Wyglądam przez okno, a to marszałek Bóbr. Ucieszony witam go, a on ze zdziwieniem mówi, jakto, to ty jeszcze nie aresztowany? I opowiada że gdy go wieźli do Żytomierza, na stacyi pocztowej w Dydowiczach jakiś przejeżdżający urzędnik zapytywał żandarmskiego oficera kogo on wiezie i gdy dowiedział się, że aresztowany jest to marszałek Bóbr, zapytał a dlaczego nie aresztowaliście Turkułła? Przy obiedzie opowiada marszałek, jak mu udało się uniewinnić przed gubernatorem i jak go oswobodzono. Przyszło kilku znajomych, byli na herbacie i kolacyi i kiedy mieli się rozchodzić, wchodzi oficer żandarmski z jakimś urzędnikiem i pokazuje nowe rozporządzenie gubernatora, żeby powtórnie aresztować marszałka i pod eskortą przywieźć go do Żytomierza. Po długich certacyach zgodził się oficer odłożyć wyjazd do dnia następnego i jechać przez Zahajce dla zabrania niezbędnych rzeczy i pieniędzy. Postawiono wartę u drzwi i pan oficer z urzędnikiem odeszli. Ja naprzód wyjechałem do Zahajec, żeby przygotować wszystko do długiej może podróży i nad ranem byłem już w Zahajcach, marszałek z żandarmami dopiero wieczorem przybyli,

przenocowali i na drugi dzień rano odjechali do Żytomierza, a ja powróciłem do Perekał. Przenocowawszy wyruszyłem prosto do Koziatyna, do matki mej żony, skąd parę wiorst tylko oddzielało mnie od granicy, było mi więc tutaj najbezpieczniej. Po naradzie z mymi szwagrami, włościanin koziatyński w nocy przeprowadził mnie przez granicę do Łuczyc w Galicyi, gdzie mieszkali nasi znajomi. Tam dopiero po wielu nocach zasnąłem spokojnie i odetchnąłem swobodnie. W Łuczycach miałem częste wiadomości z Wołynia. Dowiedziałem się, że marszałka Bobra uwięzili w Żytomierzu pod silnym nadzorem w klasztorze bernardyńskim, że pozamazywano mu oczy, żeby nic nie widział, do jedzenia nie dawano ani noża, ani widelca, często go indagowano i po półrocznem uwięzieniu uwolniono, ale jakiś czas z Żytomierza nie wyjeżdżał, a żona z córkami ciągle bawiła za granicą. Z Łuczyc razem z kilku Wołyniakami pojechałem do Lwowa. Z początku, póki zapasy pieniężne nie wyczerpały się czas schodził wesoło, grywaliśmy często w wista i oczekiwali chwili możebnego powrotu do kraju. Ale jak zabrakło sukursów pieniężnych, trzeba było czas jakiś dobrze przebiedować. Kwaterę miałem bezpłatną w domu państwa Onyszkiewiczów, ale po obliczeniu się z kasą pokazało się, że więcej nad sześć krajcarów dziennie wydawać nie można. Przez siedm dni tak żyłem i widząc, że prędko nie stanie i tego, chciałem sprzedać zegarek i wyruszyć nad granicę, dla rekwirowania zwrotu różnych należności, jakie miałem u znajomych na Wołyniu. W owej krytycznej chwili, koledzy zmusili mnie do gry w wista, w sześciu robrach wygrałem 30 cwancygierów, tak zbożacony poszedłem do gubernatora Lobkowitza, wziąłem

paszport zapłaciwszy zań cztery reńskie i wyjechałem nad granicę.

Na Wołyniu już się uspokoiło. Cały rok bowiem przebyłem na tej mojej emigracyi i tęsknota pędziła mnie do domu i do swoich. Posłałem przez granicę posłańca do moich kredytorów, tymczasem jedni wymawiają się brakiem pieniędzy, drudzy nic nawet nie odpisują. Jeden tylko sędzia Kozłowski przysłał mi dzieść rubli asygnacyjnych, nie mających kursu w Galicyi, dwa dukaty i cztery ruble srebrne. Z tym zasiłkiem, przyjechałem do Podkamienia, skąd widać doskonale Poczajów i wzięwszy przewodnika dostałem się do Taraża, a stąd do Horynki. Po śmierci rodziców w Horynce zamieszkała siostra moja Felicyna z mężem Antonim Wesołowskim, z synem Feliksem i córką Apolonią, a z niemi mieszkała i druga moja siostra Julianna. W 1832 roku w miesiącu kwietniu, przybywszy do nich, posłałem po brata Kazimierza, będącego profesorem języka rosyjskiego w szkołach Teofipolskich, żeby przyjechał do Horynki dla zrobienia działu. Fundusz pozostały po rodzicach stanowiła suma posagowa matki 12.000 złp. ulokowanych u Ożarówskich na Horynce, 16.000 złp. z zapisu testamentem Florentego Trzaskowskiego, ulokowanych na zastawie w Oryszkowcach, krzemienieckiego powiatu u pana Wojakowskiego, a które ja odebrawszy ulokowałem u marszałka Bobra. Tym kapitałem podzieliliśmy się po równej części z siostrami. Wypadło na każdą schedę po 7 złp. Remanenta zaś żywotne i martwe odstąpiłem siostram, wzięwszy sobie jako pamiątkę rodową obraz Pana Jezusa na krzyżu, malowany na drzewie, przed którym dziad i ojciec się modlili. Ta droga dla mnie pamiątka spaliła się w czasie pożaru domu mego w Witoniu powiatu Łuckiego, ma-

jętności, którą później nabyłem. Dział ten spisawszy, oblatowaliśmy w aktach krzemienieckich. Zbliżała się Wielkanoc. Cała familia marszałka Bobra i jego żony zjechała się na święta do Sobolówki za Żytomierzem, gdzie mieszkała matka pani Bobrowej Duklana Morzkowska. Tam i ja wyruszyłem. Ogromne było zdziwienie, jak mnie ujrzano. Zostałem liczne towarzystwo, oprócz marszałkowstwa z córkami bawiła przy nich panna Józefa Paderewska, kuzynka pani Bobrowej, z którą od dzieciństwa razem wychowywały. Był tam metr muzyki Müller z żoną Kamilią, bona Kalicka. Święta odbyły się bardzo wesoło, z sąsiedztwa przyjeżdżali kuzyni: Państwo Gruszeccy, Dachowscy i inni. Radzą się marszałka co mam z sobą zrobić, czy zostawać w kraju, bo jeżeli mnie mają aresztować, to wolę powrócić do Galicyi. We Lwowie bowiem poznałem bogatego Węgra, który tak mnie polubił, że proponował mi, aby z nim jechać do Węgier, ekspatrjując zupełnie, a on mi zwróci cały ten majątek, jaki w kraju stracę. Marszałek mi na to odpowiada: »poczekaj, pojedę jutro do Żytomierza, pogadam z gubernatorem i dowiem się czy oni wiedzą o twojej emigracyi. Gubernatorem wówczas był Korsaków Rymskij. Z niecierpliwością oczekuję powrotu marszałka i jakież było moje zdziwienie, gdy mi oddał do rąk paszport na kilka gubernii jako pełnomocnemu marszałka Bobra. Po świętach wielkanocnych wyjechaliśmy razem do Zahajec, gdzie zabawiwszy niedługo, wyruszyłem załatwiać różne interesa majątkowe w powiatach włodzimierskim, dubieńskim, starokonstantynowskim, w gubernii podolskiej w powiecie hajsyńskim, w gubernii kijowskiej, na Besarabii w powiecie terespolskim, w Odessie, gdzie były śpichrze na zboże i dwa futory w stepie. Przebywając w Zahajcach i bliżej poznawszy

pannę Józefę Paderewską, kuzynkę Bobrów, pozyskałem jej sympatyę i miałem zamiar z nią się żenić. Państwo Bobrowie nic przeciwko temu nie mieli, ale ona była cierpiącą na aneuryzm. Kurowali ją za granicą, wyleczyć jednak nie było można. Miewała silne bardzo ataki, w których traciła przytomność. Pan Bóbr wyjechał do Odessy, ja go wyręczałem w Zahajcach i Panna Józefa dostała ataku. Tejże chwili posłałem konie do doktora Domhera do Krzemieńca, który leczył ją dawniej i znał słabość. W parę godzin był doktor, puścił krew, obstawił pijawkami, i po kilku dniach chora wyzdrowiała. Ale ostrzegł nas doktor, że jeżeli do miesiąca atak się powtórzy to będzie grozić poważne niebezpieczeństwo i przepisał środki jakich na razie, bezzwłocznie trzeba użyć, zanim on przyjedzie z lekarstwami. Pani Bóbr za- tęskniwszy za mężem postanowiła pojechać do niego do Odessy. Wyrobiłem paszport i pojechała. Jednego dnia pojechaliśmy z dziećmi na spacer, panna Józefa wróciła zdrowa, wesoła, grała na fortepianie i wstając od niego mówi do mnie: »Wiesz pan, jestem chora, posyłajcie po Domhera, a tymczasem radźcie mi wedle jego przepisu«. Położyliśmy ją zaraz do łóżka, zrobili z gorczycy kąpiel na nogi, posłałem po doktora, ona tymczasem usnęła. Siedzę koło niej, zaczyna mówić przez sen. Zapytuję ją czy może czego jej potrzeba, odpowiada mi: kto jesteś, mówię Turkuł. »Jakże ty możesz być przy mnie bez mego pozwolenia?«. Tłómaczę się, że nie chcę jej powierzać opiece służby. »A to dobrze, a po doktora posłaliście?« Wtem wchodzi Domher. Poznała go i pyta czy przywiózł lekarstwa i to wszystko śpiąc. Znowu puszczono krew, postawiono pijawki i wróciła przytomność. Zażądała posiłku, zjadła trochę i usnęła. Rano nazajutrz wchodzi służąca i mówi, że chora spała

spokojnie i prosi doktora do siebie. Wtem nadjeżdża z Odessy pani Bóbr sama i męża nie widziała, gdyż odjechał na Podole. Przyjechała z bólem zęba i prosi, abym wysłał sztafetę do Wiednia po doktora Kaligę, żeby ten przyjechał wyrwać jej zęba. Posłałem do Krzemieńca, żeby wyprawiono sztafetę, nadjeżdża matka pani Bobrowej, pani Morzkowska. Pannie Paderewskiej robi się znowu gorzej, puszczają krew, stawiają pijawki, chwilowo przynosi to ulgę, ale wpada w nadzwyczajny silny sen, w którym ciągle coś mówi, odpowiada na wszystkie pytania, widzi wszystko co się dzieje na dole pałacu, kto co robi, powiada, że doktor Kaliga już jest w Radziwiłowie i jutro o 11 przybędzie do Zahajec, co się najpункtualniej sprawdza. Zapytuje ją pani Bóbr, czy wie coby jej mogło pomódz, odpowiada że wie, ale nie powie, to samo odpowiada na zapytanie doktora i moje. Mnie, gdym ją nazwał panią, odpowiedziała: nic ci nie powiem jak będziesz mnie panią nazywać, u Pana Boga myśmy wszyscy równi, gdym nazwał ją po imieniu odrzekła: »Raz powiedziałam, że wiem ale nie powiem, doktor robi wszystko, ale to nie pomoże i ja umrę«. Spała tak silnie, że żadnym sposobem nie można było jej rozbudzić, śpiąc zrywa się, chce iść i nadzwyczajnych wysiłków potrzeba, aby ją powstrzymać. Zapytałem jej śpiącej, jakim sposobem można ją obudzić, odpowiada: »Zbliźcie świecę zapaloną do moich oczu a zaraz się przebudzę« i rzeczywiście tym sposobem odrazu, można ją było przebudzić. Radziłem Domherowi, aby ją magnetyzował, ale uważał to za niebezpieczne przy silnej gorączce. Przebudziwszy się nic nie pamiętała co mówiła. Trzyście dni i nocy prawie nieodstępny byłem przy łożu chorej, zaledwie godzinę jedną spoczywając na dobie. Ale w uśpieniu dziękowała mi

i upewniała, że jeszcze nigdy nie była tak starannie pilnowaną, jak przeze mnie. Trzynastego dnia w kwietniu 1833 roku zakończyła życie panna Józefa Paderewska z ogromnym żalem wszystkich ją otaczających. Pochowano ją w Dederkałach w parafialnym kościele obok trumny Urbana Bobra. W trzydzieści kilka lat potem chowając tamże marszałka Bobra, odkrywałem trumnę ś. p. Józefy Paderewskiej i ciało jej nie uległo zupełnie rozkładowi, wyglądała jakby uśpioną.

Państwo Bobrowie z dziećmi i matką wyjechali za granicę, a ja zająłem się administracją całego majątku, położonego w kilku guberniach i tyłu powiatach. W gubernii wołyńskiej w powiecie krzemienieckim dwie duże wioski Zahajce i Cecenjówka, w dubieńskim: Wojnica, Perekale, Ochmatków część Kniahinina i Dorostaj, w konstantynowskim: Czepelówka i Woskodawinice, we włodzimierskim: Zahorów, Łukowicze, Buszkowicze, Oryszcze, Kremesz, Zaszczytów, w podolskiej gubernii duża wieś Nosowce. Na Besarabii w powiecie terespolskim wieś Szosa, 2000 mórg ziemi, w Odessie spichrze na zboże i dwa futory koło Odessy. To były majątki marszałka. Pani Bóbr miała w gubernii wołyńskiej w powiecie Żytomirskim starostwo Nehworoszcz, składające się z Nehworoszczyzny, Kotosika, Kryłówki i Żardeli. W gubernii kijowskiej: Kozarewicze, Hlebówka i Jasnohorodka 2018 dusz jak wówczas liczono i ziemi nad Dnieprem 15.000 morgów. Majątki we włodzimierskim były w posesyi, Wojnicę trzymał Komornicki, Perekale, Ochmatków i część Kniahinina wzięłem ja w posesyę, Porostaje małe wzięł pan Piotr Szeptycki, Nosowce trzymał Pułkownik Chyczewski, Nehworoszczyzna i Kozareczczyzna także były w posesyi. Państwo Bobrowie wyjechawszy za granicę w roku 1834 powrócili dopiero

w 1839. Przez te więc pięć lat niemało miałem zajęcia i w ciągłych byłem rozjazdach. Majątki rozrzucone w czterech guberniach i tylu powiatach, ciągle jakieś sprawy i procesa, to z posesorami, to posesorów z włościanami. Z tylu urzędnikami trzeba było mieć do czynienia. A przytem w ciągu tych pięciu lat był jeden rok tak nieurodzajny, że głód mnóstwo ofiar pochłonał. Rząd nakazał obywatelom karmić swoich poddanych. Przez cały prawie rok wydawano mąkę z magazynów dworskich, co tydzień po garncu na każdą duszę męską i żeńską, a dla małoletnich po pół garnca. Mąkę tę mełto z żyta, jęczmienia, owsa i hreczki w równej części zmieszanych, do czego włościanie dodawali plewę hreczaną, pączki grabowe na wiosnę, w żarnach mielone. Magazynów zapaśnych włościańskich jeszcze wówczas nie było i dopiero po tym roku głodu, rząd kazał je po wszystkich wioskach zakładać. Rok ten niejednego zrujnował obywatela, bo wykarmienie ludzi, przy ogólnym nieurodzaju, nie było łatwem. Kiedym na wiosnę w kwietniu przyjechał do majątku będącego w Besarabii, wsi Szozy, przyszła do mnie cała gromada mężczyzn i kobiet, których podług skazek t. j. spisu ludności liczyło się 450 dusz, samych mężczyzn i na kolanach płacząc prosili o ratunek. Kiedym zaczął im perswadować, że niema skąd dostać zboża dla tylu ludzi, to odpowiedzieli mi jednogłośnie, »Świata Polszcz, wże naraz naszym batkam i didam dawała chlib, jak u nas nerodyło, to i teper nas poratuje«. Tak mię to poruszyło, że zapytuję ich, wiele mogą zebrać podwód ze wsi, po szczelnem obliczeniu się pokazało się, że nie więcej nad 20, bo większą część koni i bydła sprzedali na chleb. Wyprawiłem te podwody zaraz do Nosowicz, majątku Bobra, o wiorst 150 odległego, gdzie był jeszcze

zapas zboża, żeby stamtąd im dostarczyć. W chwili mego wyjazdu znowu cała wioska z dziećmi przyszła mi dziękować i błogosławić, że ich od głodnej śmierci uratuję. Dużo ludzi wymarło w tym roku z głodu, dużo z chorób powstałych ze złego odżywiania się, szczególnie na wiosnę, w czasie której karmiono się łobodą, lepiechą i innymi zielskami. W majątkach Bobrów ludzie jednak z głodu nie umierali i nawet nie chorowali tak bardzo, dwór ich wyżywił do żniw nie zadłużwszy się wcale, tak jak miało to miejsce w innych majątkach. Następny rok był dość urodzajny i powetował choć w części straty poprzedniego.

Na kijowskie kontrakty, co roku musiałem jeździć dla różnych interesów. W roku następnym po głodzie, pojechałem do Kijowa, razem z posesorem Wojnicy Szeptyckim i razem kwaterowaliśmy u Kotkova na Padole. Jednego dnia namęczony się dobrze, wcześniej wróciłem do kwatery i zabierałem się już do snu, gdy wrócił Szeptycki i zaczął mnie namawiać, żebyśmy poszli na wieczór do pani deputatowej Cywińskiej, która bawiła w Kijowie z dwoma córkami. Dałem się namówić usilnym naleganiom i pojechaliśmy. Wieczór zeszedł nam wesoło do godziny 2-iej, po którym ciągle zapraszani przez gościnną gospodynię, przez dni kilka codziennie przepędzaliśmy tam wieczory. Szeptycki chociaż żonaty, bardzo się unosił i wychwalał panny i całą rodzinę. Nie mogło to nie wpłynąć na mnie, tem bardziej jak zaczął mnie upewniać, że się bardzo podobałem starszej panie Zofii i że matka i cała rodzina bardzo sobie życzą, abym się z nią ożenił. Nie długo namyślając się oświadczam się i zostaję przyjęty. Powróciwszy z kontraktów do Zahajec, prędko bardzo pojechałem do narzeczonej do Buzowy pod Kijowem i nie

mając czasu, często dojeżdżać, prędko odbyło się i wesele. Po odbyciu takowego, z żoną wyjechałem do Perekał, które wraz z Ochmatkowem i częścią Kniahinina trzymałem w posesyi.

W roku 1839 po pięcioletnim pobycie za granicą powrócili do kraju państwo Bobrowie. Wyjechałem na ich spotkanie do Radziwiłłowa i odrazu zauważyłem, że dobry stosunek, jaki zawsze był między nimi, zupełnie się zmienił. Jedziemy do Zahajec, musiałem tam jakiś czas zabawić dla poinformowania marszałka o interesach. Widzę że codziennie nieporozumienia małżonków się zwiększają. Oboje uskarżają się na siebie przedemną. Łagodzę jak mogę, ale niewiele to pomaga. Zwykle w czasie gorętszych sprzeczek, wyprawiam starszą córkę, wejście której zawsze przerwało sprzeczkę. Ale jednego dnia marszałek wzywa mnie i w silnem rozdrażnieniu zapowiada, że odtąd już do żadnych interesów majątkowych żony, wtrącać się nie będzie i żebym ja je sam załatwiał. Pani Bóbr przemawia do mnie, że ona całą nadzieję pokłada we mnie, że jej nie opuszczę, że mi przyzna nieograniczoną plenipotencyę i że z góry się zgadza i akceptuje wszystkie warunki przemnie podane. Tak zaatakowany odpowiadam, że zgodzę się, ale z warunkiem, od którego nie odstąpię, a mianowicie, ażeby przez wzgląd na dorastające córki, nie podawali się do rozwodu. Postawiwszy takie ultimatum, zostawiając czas do namysłu w zgodzeniu się nań, odjechałem do Perekał. Przeszedł jakiś czas, już zacząłem nabierać nadziei, że musiało nastąpić porozumienie między małżonkami, gdy jednego dnia przyjeżdża do mnie do Perekał marszałek i wzywa mnie, abym z nim jechał do Zahajec, dla objęcia zarządu majątkó w żony, która bezwzględnie wyjeżdża z córkami za granicę. Wyjechaliśmy

nazajutrz razem z Perekal i na kolacją przybyliśmy do Zahajec. Ta odbywała się w dość licznym towarzystwie, dwie córki, metr muzyki Müller z żoną, guwernantka, bona Kalicka i zdawało się, że harmonia między małżeństwem dobra. Na drugi dzień tak samo i przy herbacie, w czasie której przyjeżdża blizki sąsiad i zaufany doradca we wszystkim pan Daniel Mężyński. Po herbacie zwykle rozchodzili się wszyscy do siebie, aż do 12-tej godziny śniadania, na które zwykle dwa razy dzwoniło. Przychodzę na takowe, zastaję już wszystkich zebranych. Po śniadaniu pan Mężyński podaje rękę pani Bóbr, marszałek bierze mnie pod rękę i wychodzimy do sąsiedniego pokoju, którego drzwi zamykają. Na stole widzę, leży plik papierów, marszałek odzywa się do mnie, oto wszystkie rejestra i papiery odnoszące się do majątku mojej żony, zdaję je w jej obecności, przepatrz i zabierz. Na to pan Mężyński wraca się do pani Bóbr i mówi, ale pani nie zna zupełnie interesów i nie wie dochodów swego majątku, ja je znam i mogę upewnić, że nie wystarczy ich pani nawet na trzewiki, marszałkowa zapytuje mnie, czy to prawda, odpowiadam, że tyle lat administrując majątkiem, znam go lepiej od pana Mężyńskiego i mogę ją upewnić, że wystarczy nie tylko na trzewiki, ale i na wszystkie inne potrzeby i na pobyt za granicą, z warunkiem jednakże, który dodaje do poprzedniego, abyście nie szli do rozwodu i żeby pani dała mi słowo, że bez mojej wiedzy nie zaciągnie pani żadnego długu. Marszałkowa podała mi rękę, upewniając, że obydwaj warunki święcie dopełni. Przyjąłem papiery, marszałek zobowiązał się rocznie dawać na utrzymanie dzieci 5000 rs. i pani Bobrowa wyjechała zaraz za granicę z córkami, przyznawszy mi nieograniczoną plenipotencję do zarządu jej majątkiem. Przez

cały swój pobyt za granicą przez lat kilka ciągle zmieniała miejsce swego pobytu, tak że odbieram od niej list z Paryża, odpisuję, a następny list odbieram już z Rzymu i tak ciągle. Raz tylko na rok dłużej się zatrzymywała w jednym miejscu w czasie kontraktów kijowskich, dopóki nie odebrała pieniędzy. A przez cały czas mego zarządu majątkiem, co roku odbierała ode mnie od 13.000 rs. do 15.000 rs. i dotrzymała danego słowa, bo ani do rozwodu nie poszła, ani grosza długu nie zrobiła. Jednego roku spotykam się na kontraktach kijowskich z panem Cezarym Poniatowskim, który tylko co powrócił z zagranicy i komunikuje mi, że się widział z panią Bóbr, od której przywozi mi ukłony i powiada, że nie miała słów na wyrażenie przed nim swojej wdzięczności i uznania dla mnie, że kiedy najbliżsi opuścili ją, ja jeden nią się zaopiekowałem, spełniając najakuratniej wszystko com obiecał. Do kraju zwykle wracała tylko na bardzo krótko dla zmiany paszportu.

## ROZDZIAŁ IV.

Hrabia Maurycy Potocki. — Jego przyjazd do Rosyi. — Więzienie w Kijowie. — Uwolnienie. — Podróż moja z marszałkiem Bobrem do Białorusi i Litwy. — Lustracya majątków hr. Potockiego, bereżyńskiego i horodyńskiego klucza. — Ulepszenie systemu gorzelnianego i wprowadzenie takowego przemnie na Wołyniu.

W czasie pobytu pani Bobrowej za granicą w roku 1847, ze starszą jej córką Ludwiką ożenił się hr. Maurycy Potocki, były podchorąży z czasów ks. Konstantego, skompromitowany wobec rządu rosyjskiego za udział w powstaniu 1831 roku. Pan Bóbr, będąc wówczas gubernskim marszałkiem, chcąc uniknąć sam kompromitacyi, prosił cesarza Mikołaja o pozwolenie zawarcia tego związku. Otrzymał takowe, z warunkiem jednakże, wzbraniającym zaślubionym przyjazdu do Rosyi. Po kilku latach pożycia, kiedy państwo Potoccy mieli już syna Augusta i córkę Natalię, trzeba było koniecznie uzyskać pozwolenie pobytu w Rosyi. Matka bowiem pana Maurycego, z domu Tyszkiewiczówna, mieszkająca za granicą, miała na Litwie w powiecie lidzkim klucz horodeński, składający się z kilkunastu folwarków wzorowo zagospodarowanych i w mińskiej gubernii, w powiecie ihumeńskim, klucz bereżyński, dwakroć sto tysięcy morgów obszaru i kamienicę w Wilnie. Cała więc ta ogromna fortuna po śmierci matki hr. Maury-

cego podlegała konfiskacie. Po długich staraniach pozwolono powrócić hrabiemu do kraju z warunkiem, że musi poddać się wyrokowi sądu wojennego w Kijowie. Nie było innej rady, trzeba było ryzykować i hrabia Potocki z żoną i dziećmi przybył do Radziwiłowa, gdzie czekał już na jego przybycie oficer żandarmów, przeznaczony do eskortowania go do Kijowa. Za jego zgodą, zajechano na noc do Zahajec, skąd na drugi dzień, hrabia z teściem i oficerem wyruszyli do Kijowa. Wojennym gubernatorem był wówczas znany ze swej srogości Bibikow. Bóbr, jako marszałek gubernii był mu dobrze znajomym. Zajeżdżają wprost do niego, ale on oświadcza, żeby na drugi dzień hrabia udał się do cytadeli. Naznaczono mu kazamatę, mającą 96 cali długości i 32 szerokości. Cały tydzień siedzi w niej cierpliwie, ale w nocy wielka ilość tarakanów spać mu nie daje, tak, że w końcu rozchorował się. Po długich staraniach przenoszą go do fortecznego bastyonu zwanego Prozorówką i przeznaczają dla niego już dwa pokoje dość duże. Pan Bóbr zamieszkał w domu ks. Cecylii Radziwiłowej na Kreszczatiku i codzień od godziny 11 rano do 10 wieczór przepędzał czas razem z uwięzionym razem jadali obiad, grali w karty i piłkę. Od czasu do czasu wzywano hrabiego na indagacye do sądu wojennego, które ciągnęły się bardzo powoli. W miesiąc po przybyciu do Kijowa, wezwał mnie marszałek abym przybył. Było to w listopadzie; wyrobiono mi pozwolenie odwiedzania więźnia. We trzech więc rozrywaliśmy go, to grając w wista, to w piłkę dla użycia ruchu, pomagaliśmy mu uczyć się rosyjskiego języka, żeby mógł się lepiej tłómaczyć w komisyi z robionych zarzutów. Trzy miesiące trwał ten sąd i wyrok został wysłany do potwierdzenia cesarza. Uznano hrabiego winnym, ale zali-

czono do trzeciej kategorii przestępstw politycznych, a więc bez pozbawienia praw i konfiskaty majątku. Mikołaj kazał odesłać wyrok do Warszawy, dla przejrzenia go przez tamtejszy sąd wojenny.

Wyjechałem z Kijowa, ale obiecałem przyjechać wcześniej na kijowskie kontrakty, i rzeczywiście zaraz po Trzech Królach, nie czekając na panią Potocką, która chciała ze mną razem jechać do męża, przyjechałem sam do Kijowa. Zastałem hrabiego bardzo znudzonego i zmęczonego tak długim uwięzieniem, które rozrywały tylko nieustanne pasyanse. Z mojem przybyciem, zaczęliśmy znowu grać w wista i piłkę i więzień się trochę rozruszał i ożywił. Wkrótce przyjechała żona; wyrobiliśmy jej pozwolenie odwiedzania męża, i aby oszczędzić jej przerażenia, uprosiliśmy dyżurnego oficera, by w chwili wejścia hrabiny, pozwolił warcie tak się usunąć, żeby nie była widzianą. Codziennie to się odbywało i ona widząc, że mąż nie jest tak stricte pilnowany najlepszej była nadziei, później dopiero dowiedziała się, że to my tak urządzali dla jej uspokojenia. Codzienne takie bywanie do późna w fortecy, a potem długie jeszcze narady po powrocie tak mię zmęczyły, że jednego dnia zostałem na kwaterze, aby się wyspać dobrze. Przespawszy prawie cały dzień, budzę się nad ranem i słyszę, że marszałek, który zwykle do 10 rano sypiał, nie spi i ciągle wzdycha. Wchodzę do jego pokoju i zapytuję o przyczynę; odpowiada mi, że tak jest zmartwiony tem długim ciągnięciem się sprawy, że darować sobie nie może, dlaczego namówił hrabiego na to dobrowolne uwięzienie, które nie tylko że majątku nie uratuje, ale i jego jeszcze zgubi, że widocznie w Warszawie sprawa musiała wejść na bardzo złą drogę, kiedy ją tam tak długo trzymają, nie zważając na to, że brat uwięzionego,

pan August Potocki miał tam starać się i pilnować. Uspokajam jak mogę, nic nie pomaga. Do fortecy pojechałem sam z hrabiną i dopiero koło 2 godziny nadjechał marszałek i mówi nam, że spotkał się z Wiktorem Czackim, świeżo przybyłym z Warszawy, który mówił mi, że tam nikt tej sprawy nie pilnuje i dlatego ona tam leży, i może Bóg wie jak długo leżeć.

Pojechałem do Czackiego, aby się go lepiej i szczegółowiej o wszystko wypytać, alem go już nie zastał, wyjechał do Brusilowa. Ze wspólnej narady wypadło, abym jechał do Warszawy; dano mi 15,000 rs., wyrobiono paszport i we dwa dni już byłem w Warszawie. Miałem listy polecające do pana Augusta Potockiego i do innych osób, stanąłem w hotelu Rzymskim. Przyszedł hrabia August, obiecał dowiedzieć się jak sprawa stoi; — czekam cały tydzień, ale napróżno, nic się nie mógł dowiedzieć. Jadę do znajomego mi kuzyna Bobrów, senatora Skibickiego, proszę go, aby mi wskazał kogoś, przez którego możnaby się dowiedzieć, jak stoi sprawa. Odpowiada mi, że wojenny audytor, u którego jest ta sprawa, ogromny regorysta, że od niego nie tylko się nic nie można będzie dowiedzieć, ale jeszcze samemu można się dostać do cytadeli. Nastają uparcie, że jeżeli nie audytora, to niech mi drugiego członka komisji wskaże, a ja już sam dam sobie radę. Po długich certacyach, siada ze mną do dorożki i wiezie mnie do pewnego urzędnika. Po poznaniu się, odprowadzam go na stronę i przystępuję wprost do rzeczy, mówiąc w jakiej przyjechałem sprawie. Mówi mi, że sprawa ta poruczona do rozpatrzenia nie jemu, ale jego dobremu znajomemu, że się dowie jak ona stoi i jutro mi powie. Przyjeżdżam nazajutrz i dowiaduję się, że sprawa już rozpatrzona i bezzwłocznie zostanie przedstawiona na

potwierdzenie i że za dni trzy najdalej, będzie już wyrok postanowiony. Z wielką niecierpliwością oczekuję tego dnia, i po upływie takowego jadę do tego urzędnika i on daje mi karteczkę, z kopią wyroku: zaliczyć czas siedzenia w fortecy za karę i uwolnić uwięzionego. Uszczęśliwiony dziękuję temu panu jak tylko mogę i jadę wprost do hrabiego Augusta. Jak przeczytał karteczkę, wierzyć nie chce i mówi: poczekaj, ja zaraz jadę sprawdzić to i zaraz wracam. W niespełną godzinę wraca uradowany, wyczułuję mnie i dziękuje, że on nic nie mógł pomódz bratu, a mnie tak się to łatwo i prędko udało.

Tej chwili wysłałem z Warszawy sztafetę do Kijowa z zawiadomieniem, że na Wielkanoc zobaczymy się wszyscy razem w Zahajcach. Bezzwłocznie wyjechałem z Warszawy. W Uściługu była jeszcze komora graniczna, trzeba było przebywać szczelną rewizyę. Przyjeżdżam na noc do Włodzimierza i wysyłam drugą sztafetę tejże samej treści do marszałka. Przyjechawszy do Perekał wysyłam do Zahajec umyślnego z listem do pani Potockiej, uspokajając ją, a tu z poczty przywożą mi list z Kijowa od marszałka, pełen wymówek, że ja nic nie zrobiłem w Warszawie dlatego pewno, że żalowałem kosztów. Oburzył mnie ogromnie ten list i myślę sobie, że jeżeli coś podobnego napisał do córki do Zahajec, to ona odchoruje to pewno, każę zaprzęgać konie i sam jadę do Zahajec. W Krzemieńcu popasam i zastaję konie z Zahajec, jako rozstawne, czekające powrotu hrabiny Potockiej z Dubna, i mówią mi że odebrano sztafetę z Kijowa i wysłano 18 koni do Ostroga po wracających panów. Nie doczekawszy się powrotu pani Potockiej z Dubna, jadę do Zahajec; przyjeżdżam wieczorem, zastaję cały pałac oświecony, Ciołkowski, marszałek

dworu, wystrojony oczekuje lada chwila przyjazdu panów. Mówię mu jaki list odebrałem od marszałka i że tak mię on obraził, że nie widząc się z nim, jutro jak dzień wyjeżdżam z Zahajec. Wtem dały się słyszeć dzwonki, ja odszedłem do oficyny. Wpada hr. Potocki, zaczyna mi dziękować i powiada, że marszałek zaraz po wyprawieniu listu do mnie, odebrał moją sztafetę jedną i drugą i nie mógł sobie dać rady, desperując, że tak niesłusznie obraził mię. Nadjeżdża pani Potocka, przychodzi do mnie przeproszać w imieniu ojca. Podrożyłem się trochę i nastąpiła zgoda.

Było to w Wielkim tygodniu. Piątek i sobotę polowaliśmy. W Kijowie jeszcze zapowiedziałem hrabiemu, że jak go uwolnią, to chociaż nigdy nie byłem pijany, ale po jego uwolnieniu, upiję się koniecznie; wziął mnie za słowo, dodając, że i on dotrzyma mi kompanii. Na pierwszy dzień Wielkiejnocy przypomina mi obietnicę, i zaczynamy pić we trzech. Prędko bardzo marszałek usnął, ale my we dwóch dotrzymujemy sobie placu. Trwa to tak długo, że przestraszona hrabina zaczyna nas na wszystko prosić, abyśmy przestali, i po długich instancjach umawia nas, że resztę dopijemy na weselu jej córki, panny Natalii. Tymczasem dotąd panna Natalia za mąż nie wyszła, hrabia Maurycy umarł, i ja nie mam już z kim dopić. Po świętach Wielkanocnych w roku 1851 wszyscy wyjeżdżają z Zahajec do Warszawy. Naprzód odjechał hrabia Maurycy Potocki, a w tydzień po nim, żona z dziećmi, bonami, guwernantkami, guwernerami, z mamką do młodszej jej córki Maryi, i z ojcem. Zapowiedzieli mi swoją wizytę w Perekałach, wyjechałem na ich spotkanie do Kozina. Droga była fatalna, niezważając że ją świeżo wyreperowano pod przejazd biskupa prawosławnego, objeżdżającego cerkwie.

Liczna kalwakata, składająca się z kilku powozów i furgonów, wolno jechać musiała; by ulżyć, zabrałem do swego powozu mamkę, Krakowiankę, z dzieckiem, późniejszą ordynatową Zamoyską, i pojechałem naprzód. W karecie pękł w drodze resor, poprawili go w Perekalach i po śniadaniu wyjechali wszyscy na noc do Zahorowa, dokąd i ja ich odprowadziłem. W Zahorowie cały dzień odpoczywano; przyjechała hrabina Alfredowa Potocka i razem z nią wszyscy odjechali do Warszawy, a ja powróciłem do Perekal.

Było to w miesiącu kwietniu. W sierpniu posłaniec z Zahajec przywozi mi list od Marszałka i plenipotencją od hrabiego Augusta Potockiego dla wprowadzenia w posiadanie brata jego Maurycego do dóbr horodeńskich w wileńskiej i berezyńskich w mińskiej gubernii. Marszałek pisze do mnie, żeby się wybrać tak z domu, żebyśmy mogli prosto z Zahajec z nim razem wyruszyć na Białoruś i Litwę. W parę dni byłem już w Zahajcach i wyruszyliśmy przez Mińsk do Berezyny. Tam zastaliśmy pałac dwupiętrowy nad brzegiem rzeki Berezyny postawiony. Całe drugie piętro oryginalnie umeblowane, bo wszystkie meble, kanapy, krzesła, stoły na łosiowych rogach zamiast nóg ustawione; na ścianach głowy łosi, niedźwiedzi, dzików, wilków, sarn, bor-suków, lisów, różne ptactwo powypychane jak w gabinecie zoologicznym. Dwie oficyny piętrowe, w których niegdyś mieściła się straż hetmana Tyszkiewicza, rota piechoty i szwadron kawalerii. Duży dziedziniec, okolony żelaznemi sztachetami ze strzał ze złożonemi ostrzami, kaplica na dziedzińcu; wszystko porządnie utrzymane. Zajęliśmy osobno wygodne apartamenta. Pan rządca, Wołyniak, Słomka, zaprezentowawszy się nam, zaproponował obiad i przyszedł kucharz porządnie ubrany

po dyspozycję. Naznaczyliśmy mu godziny na obiady śniadania i kolacye, codzien podawał nam cetylę. Dzikizny, jarząbków, cietrzewi, dubeltów, obficie dostarczała straż leśna. Składała się ona z oberleśniczego, leśniczego i 20 leśników, mających każdy swój wydział. Wypocząwszy dni parę, wyruszyliśmy na objazd folwarków, których było 26 i 3 miasteczka. Folwarki były wszystkie w posesyi, a tylko jedna Berezyna szła na skarb. Samo miasto bardzo handlowe, zamieszkiwało tam dużo bogatych kupców, między którymi było 6 pierwszej gildy. Była fabryka sukna, smolarnia, dwa tartaki. Objechaliśmy wszystkich posesorów; u wielu były remanenta skarbowe i w niejednym folwarku było po 80 krów na pachcie. Wszystko to trzeba było obejrzeć. Przez dni pięć objechaliśmy zaledwie połowę posesorów i wróciliśmy do Berezyny. Odpocząwszy, znowu przez dni cztery objeżdżaliśmy resztę folwarków i zaprosiliśmy wszystkich posesorów na obiad do Berezyny. Zjechało ich się 22, czterech nie przybyło z powodu nieobecności. Naradziwszy się z nimi i załatwiwszy różne interesa dzierzawne, urządziliśmy polowanie na łosie. Jednego zabili, a drugi chcąc przepłynąć rzekę w lesie, wpadł między spławiane kłody sosnowe i tam go flisacy zabili drągami. Ogromne miał rogi, które zabrałem ze sobą i w czasie pożaru spaliły się w Witonizu.

Jakie dochody były wówczas z samego lasu, to wymienię cośmy wzięli za różne materyały leśne, które zastaliśmy przygotowane i wyrobione. I tak: za łyka nadarte, złożone w magazynach, wzięliśmy 2.000 rs.; za 1,000 beczek smoły 25,000 rs.; za łąb lipowy na moczarki i rohozy 4,000 rs.; za terpentynę 1,000 rs.; za ścięte kłody sosnowe 5,000 rs.; razem 37,000 rs. Chcąc spróbować, czy nie będzie dogodniej spławiać

drzewo do Kijowa i tam sprzedawać, wyprawiliśmy 1,000 jasionów i 1,000 lip i drew brzozowych 1,000 sążni, które sprzedano po 6 rs. sążni, a za jasiony i lipy wzięto tylko po 1 rs. za sztukę — tak, że ta próba się nie opłacała i dogodniej było sprzedawać na miejscu. Mieliśmy jeszcze dość trudne zadanie obejrzyć las sporny, o który prowadził się proces z Niezabitowskimi. Wybraliśmy się tak zwanymi jednokonnymi kałamaszkami, któremi tylko możebna jazda po lesie. Przez jeden dzień nie można było dojechać na miejsce, trzeba było nocować u posesora w Kleczowie, jakiegoś barona, którego nazwiska nie pamiętam. Folwark był duży, po 500 morgów w zmianę, płacił za niego 6,000 rs. Przenocowawszy wyruszyliśmy dalej, ale pod koniec jazda kałamaszkami stała się niemożliwą i trzeba było dojść do miejsca piechotą. Obejrząwszy sporny las, który nie był oddawna rąbany, i dlatego zawierał bardzo donosne sosny i dęby, powróciliśmy do naszych kałamaszek, w których po jednym z furmanem trzeba było jechać. Na nocleg zajechaliśmy do drugiego posesora Mickiewicza, gdzie nas o mało nie zjadły pluskwy, od których jeszcze w Berezynie przez dni parę nie mogliśmy się oswobodzić. Jeździliśmy jeszcze oglądać sławne błoto berezyńskie między lasami, ciągnące się na przestrzeni czterech mil kwadratowych. Lasy po większej części były już wyrobione, pozostał sam młody ale bardzo donosny las, rosnący bez gałęzi prawie, z jedną tylko koroną na wierzchu. Barci bardzo dużo po sosnach i dębach, ale psują je bardzo niedźwiedzie, robiąc także nie mało szkody włościanom w koniach i bydłe.

Niedźwiedź zwykle uchwyciwszy konia lub bydłę zakopuje go do ziemi i spożywa dopiero, kiedy następuje rozkład. Włościanie z wielką ochotą idą zwykle na

obławę w czasie polowania, które najlepiej się udaje na niedźwiedzia w lutym, kiedy po przymarznętym śniegu psy gończe idą po wierzchu, a niedźwiedź się załamuje i nie może tak się bronić i uciekać. Wszystkich barci w 20 wydziałach lasów berezyńskich było do 8,000; płacili za nie włościanie po 15 kop. od ula na wiosnę i po 30 kop. w jesieni i przynosiło to dochodu do 3.000 rs. Cały majątek berezyński składał się z 13,800 włók ziemi i obszarem swym przewyższał niejedno małe państewko niemieckie, ale odpowiedniego do przestrzeni dochodu nie dawał. Z Niezabitowskimi hr. Maurycy skończył zgodnie za sumę 70,000 rs.

Obejrawszy cały majątek berezyński i poleciwszy rządzący co pół roku przysyłać szczegółowe rachunki i rejestra, wyruszyliśmy do Horodna. Majątek ten znajduje się w powiecie lidzkim, gubernii wileńskiej i miał gospodarstwo wzorowo urządzone. Pałac drewniany, ale wspaniale urządzone, szczególnie królewskie pokoje z salą tronową i tak samo jak w Berezynie dwie oficyny dla straży hetmańskiej, W każdym folwarku wszystkie zabudowania wystawione podług planów, bardzo symetrycznie. W stajniach i oborach podłogi brukowane, a nawet dziedzińce; drogi doskonale utrzymane i w całym majątku ani jednego mostka niema, zastępują je brukowane spady dla wody. Czternaście folwarków stanowi ten klucz, z których 13 w posesyi, a tylko jeden horodeński idzie na skarb. Posesorowie widocznie mają się dobrze, jeżdżą powozami i żyją daleko wystawniej jak berezyńscy, chociaż daleko drożej płacą za posesyę. We dwa dni objechaliśmy wszystkie folwarki i zaprosiliśmy wszystkich posesorów na obiad. Do zarządu Berezyną i Horodnem umówiliśmy pana Januskiewicza

i ja mu w Lidzie przyznałem plenipotencję z mocy tej co miałem. Zabawiwszy jeszcze dni parę w Horodnem, wyjechaliśmy razem do Brześcia, skąd Marszałek odjechał do Warszawy, a ja do siebie na Wołyń. Oprócz posesyi Perekali i Ochmatkowa, trzymałem jeszcze od pani Bobrowej starostwo Nehworoszcz, składało się ono z dwóch folwarków, była i gorzelnia taka jak w Perekalach, ale dochodu obydwie one nie dawały wiele, bo nie więcej nad 22 do 23 kwart wódki z korca. Objąwszy zarząd majątków pani Bobrowej, wypuściłem należące do niej w kijowskiej gubernii Kozarewicze, Chlebówkę i Jasnohorodkę niejakiemu Litwinowi, Jerzemu Mickiewiczowi. Był to człowiek bardzo zdolny i przedsiębiorczy; oglądnuwszy gorzelnię w Hlebówce, proponuje mi, że on swoim kosztem przebuduje ją podług nowego systemu, obecnie praktykowanego za granicą, i że zaprowadzi w majątku kartoflaną gospodarkę, tak żeby mieć 20,000 korcy kartofli i te przerabiać na wódkę. Zgodziłem się na to. Mickiewicz miał kontrakt tylko na trzy lata, płacił 3,500 rs. Po trzech latach gorzelnia funkcjonowała doskonale, z 20,000 korcy kartofli miał 20,000 wiader wódki, którą sprzedawał po 1 rs. Przedłużyłem mu posesyę i podniosłem tenutę na 4,000 rs. Widząc jakie korzystne rezultaty można mieć z gorzelnianym, przesiedziałem parę tygodni u Mickiewicza, żeby dobrze poznać i obznajomić się z tym nowym systemem gorzelnianym. Dzień i noc przesiadywałem w gorzelnii i kiedym dobrze zbadał wszystko, zaraz urządziłem taką gorzelnię w Perekalach na 50 pudów zacieru lub 30 korcy kartofli. Całodzienna operacya kończyła się w dziewięć godzin i miałem z korca mąki żytniej 50 kwart wódki 6½ grad próby, według ówczesnej normy. Gdy się wieść

rozeszła o tem w sąsiedztwie, zaczęli zjeżdżać się sąsiedzi dla sprawdzenia, nie wierząc w możność tak świetnych rezultatów. Naprzód przyjechał do mnie były marszałek dubieńskiego powiatu pan Jakób Zaleski z marszałkiem Karolem Omiecińskim z Żabcza i Lipy. Kazałem z wieczora wszystko przygotować w gorzelnii do jutrzejszego zacieru i o godzinie 9 rano przy nas podpalono ogień, a o 7 wieczorem wszystko było skończone; wódka wymierzona i wyniesiona do magazynu i okazało się, że było jej 50 kwart z pięciu pudów mąki. Zaraz marszałek Omieciński uprosił mnie, abym dopomógł mu do urządzenia takowej gorzelnii w majątku jego Żabczu, sąsiednim od Perekał, i urządziłem mu takową na 50 pudów. U drugiego mego sąsiada w Werbniu, pana podkomorzego Sieniuty, ogólnie szanowanego obywatela, także pod moją instrukcją przerobili jego gorzelnię nie dającą więcej 22 kwart wódki, na takąż samą jak u mnie i z takim samym wydatkiem. Kiedy gorzelnia zaczęła już funkcyonować, Podkomorzy urządził mi manifestacyę i w dniu mego przyjazdu do Werbnia, zebrawszy całą służbę gorzelnianą, odświętnie przybraną, z różnemi narzędziami w rękę, spotkał mnie sam na czele, wjeżdżającego do Werbnia z oracyą i podziękowaniem. Takie same gorzelnie pourządzałem u sąsiadów moich Adama Wolańskiego w Rudce, na 50 pudów, Szeptyckiego w Wojnicy na 50 pudów, u brata mego ciotecznego Konstantego Żytyńskiego w Wielkich Rykaniach na 50 pudów; w dubieńskim powiecie, w majątku marszałka Bobra w Zahajcach i Ceceńówce, u Daniela Mężyńskiego w Brykowie, w majątku kuzyna mego Feliksa Radziwińskiego w Martyszkowcach, krzemienieckiego powiatu. We Włodzi-

mirskim powiecie, w majątkach marszałka Bobra: w Zahorowie i Buszkowiczach, u Celestyna Roterunda w Błudowie, w starokonstantynowskim powiecie w Krepelówce na 100 pudów i u siebie, w nabytym Witoniu, w łuckim powiecie na 50 pudów.

## ROZDZIAŁ V.

Doktor Michałko Wojciechowski leczy mnie. — Jego wziętość. — Egzamin jego w kijowskiej wraczebnej uprawie. — Jarmark Berdyczowski. — Gra w karty. — Powrót do domu. — O moich posesjach w Perekalach i Nehworoszczy. — Kupno Witoniza w 1848 r. — Budowle wzniesione tam przezemnie. — Zamieszkanie moje w Witonizu.

W roku 1838 po drugim mojem ożenieniu się mieszkając w Perekalach, zachorowałem na bardzo niebezpieczne cierpienia wątroby. Na kontrakty do Kijowa pojechać nie mogłem. Lekarze, jak dobry bardzo doktor i przyjaciel mój Zachorowski z Beresteczka i kilku innych, nie mogli mi nic pomódz. Miewałem tak silne ataki, że przychodziła mi myśl pozbawienia siebie życia. Opamiętawszy się i przestraszony takim stanem moim, kazałem powynosić i pochować strzelby z mego pokoju. W kwietniu trochę mi się polepszyło, miałem konieczność pojechania do Nehworoszczy, którą trzymałem w posesyi i przysłała mi myśl dojechania do sławnego doktora Michałka Wojciechowskiego, mieszkającego w majątku swoim koło Machnówki. Dużo słyszałem o jego dziwactwach, że udawał nie umiejącego ani czytać ani pisać, że wchodząc do niego na konsultacyę, trzeba było naprzód położyć honorarium na stole, bez czego nie radzi, i w milczeniu gotów godziny całe przesiedzieć, dopóki choćby najskromniejszy datek nie schowa do

kieszeni. Zostałem mnóstwo pacjentów, oczekujących po kolei konsultacyi. Wchodzę i ja, coś pięćdziesiąty z rzędu, zastaję go siedzącego w fotelu, drugi próżny naprzeciw koło stołu; prosi mnie siedzieć, i milczy, — milczę i ja i patrzemy tak na siebie; oczekuję umyślnie, żeby mnie pierwszy zapytał, — milczy, patrzę na zegarek, przeszedł kwadrans, on ciągle nie odzywa się do mnie, — przeczekałem jeszcze minut z dziesięć, widzę że się nie doczekam i że to prawda co mi mówiono, wyjmuję dwie pięciozłotówki i kładę je na stole. W tej chwili schował je do kieszeni i zaraz zapytał: A na co to cierpicie? Gdym mu powiedział o mojem cierpieniu, kazał mi się rozebrać, oglądnął i obstukał na wszystkie strony, jak najbieglejszy dyagnosta i odzywa się do mnie: »To tak hemoroidy uderzyły wam na wątrobisko, ale będziecie zdrowi«. Woła swego sekretarza i dyktuje mu receptę, a do mnie mówi: »Będziecie mieli proszki, których codzień rano weźmiecie łyżeczkę kawową w szklance zimnej wody, maść, którą rano i wieczór trzeba smarować bok i obwiązać potem ceratą, i ziółka, których w ciągu dnia trzeba wypić ze dwie kwarty. Weźcie to wszystko w aptecę w Machnówce, bo w innej albo nie dostaniecie, albo dadzą nie świeże i nie pomogą, a później powiecie że Michałko zły doktor. Jeść możecie wszystko, tylko zawsze nie dojadajcie, i to nietylko w czasie kuracyi, ale pilnujcie się tego zawsze, a będziecie zdrowi i długo żyli. Zbytne objadanie się i obciążanie żołądka najwięcej sprowadza chorób«. Zapytuję czy po wyżyciu lekarstw mam powtórnie przyjechać. »A daleko mieszkanie?« — Mówię w Dubieńskim — »A to daleko, jak wyżyjecie lekarstwa, będziecie zdrowi«. Ale choć daleko, ja przyjadę. »Jak chcecie to przyskoczcie, ale ja wam mówię, że będziecie zdrowi«. Pojechałem do Ma-

chnówki, wziąłem lekarstwa, przenocowałem w Nehworoszczy i na drugi dzień wyruszyłem do domu i najakuratniej zacząłem przyjmować lekarstwa, których doza była nie mała. Samych proszków kwartę, tyleż maści i z parę garncy ziółek. Szczególnie proszki były przykre i wstrętne, ale przewyciężyłem siebie i najakuratniej, według ordynacyi, wszystko przyjmowałem. Gdym połowę tych lekarstw wyżył, już poczułem znaczną ulgę. Miałem nabrzmiałość w miejscu wątroby, ta zmaląła bardzo, żółta cera z twarzy zeszała, wrócił dobry humor i zupełnie odżyłem. W czerwcu było mi tak dobrze, że się wybrałem do Berdyczowa na sławny Onufrejewski jarmark. Potrzebowałem kupić koni jezdnych i roboczych, pięćdziesiąt wołów do gorzelnii perekalskiej, sto do nehworoskiej, — pieniądze były. Przed jarmarkiem na dni kilka pojechałem do Nehworoszczy a stamtąd do Michałka. Zastaję cały dziedziniec wypełniony karetami, powozami, najtyczankami, prostymi wozami, słowem jak na odpuście lub jarmarku. Kiedy doczekałem się kolei, wszedłszy, od razu kładę dwie pięćzłotówki na stole, i powiadam, że przyjechałem podziękować za skuteczną poradę. Obejrzał mnie i mówi: »Żadnych lekarstw już nie potrzeba, tylko teraz kąpcie się koło jakiego młyna i podstawiajcie bok pod wodę spadową«. Przyjechawszy do Nehworoszczy zaraz urządziłem sobie taką kąpiel koło młyna. W nocy opryszczyło mi cały bok. Wracając do domu wstąpiłem do Zahajec. Poradzili mi tam ci co używali modnej wówczas kuracyi Prysница, żeby nie kąpać się, póki nie zejda pryszcze. Usłuchałem tej rady i powróciwszy do Perekal, całe lato używałem tylko spadowej kąpeli. Tym sposobem wykurowałem zupełnie nie tylko siebie, ale jeszcze kilka osób. Michałko był sławnym doktorem, ale widocznie dla większej wzię-

tości, umyślnie udawał samouczka, nie umiejącego ani czytać, ani pisać. Tym sposobem dorobił się ogromnej fortuny. Miał tylko jedną córkę, a po śmierci jego owdowiała żona wyszła za mąż za księcia Mikołaja Radziwiłła z Berdyczowa. Kijowska wraczebna uprawa zażądała od Michałka zdania egzaminu, grożąc wzbromieniem leczenia. Oryginalny był to egzamin w obecności generał-gubernatora Bibikowa. Na zapytanie prezesa czy może zdać egzamin, odpowiada Michałko: »Ja nie umięjąc ani czytać ani pisać, waszego egzaminu nie mogę zdawać, ale ja umiem leczyć i ludziom pomagam, a na dowód, proszę mi dać taką dozę trucizny, merkuryszu, któraby odrazu mogła zabić człowieka. Gdy mu ją podano, zażył sam i dobywając z kieszeni jakąś flaszeczkę, popił znajdującym się w niej płynem. Po niejakim czasie zdrów zupełnie, odzywa się: »Jeżeli który z panów zrobi taką samą próbę, to wówczas ja uwierzę, że więcej umiecie ode mnie i macie prawo mnie egzaminować«. Będący świadkiem tego Bibikow, kazał mu wydać świadectwo na prawo leczenia i egzamin ten jeszcze większą sławę i wziętość zjednał Michałkowi. Bez datku nikogo nie leczył, ale nie wymagał wiele, brał co mu kto dawał, nigdy od najbogatszego nawet nie wymagając więcej. Od biednych brał: kury, jaja, gęsi, prosięta, co kto tylko mógł dać i codziennie od samego rana do godziny pierwszej pełno było pacjentów. Po pierwszej już nikogo nie przyjmował i nikomu nie radził, również nigdy do nikogo nie wyjeżdżał, wezwany, tak że musiano obłożnie chorych przywozić i wnosić na rękach do niego. Sława Michałka w swoim czasie tak była rozgłośna, że ją opiewano w różnych piosenkach, bardzo rozpowszechnionych. Jedną z takich przywitano mnie, gdym po bytności i ku-

racyi u Michałka przybył na jarmark berdyczowski, znajomi chórem śpiewając, witali mnie.

Oj chora ja, mamó, chora,  
Wezit mene do doktora,  
Do doktora do Mychałka  
Szczob ja stała jak boczałka,  
Bo Mychałko doktor sławny  
Do wsej bołezni sprawny  
I popodia z Biłhorodu  
Szczó nemała ditej z rodu  
Jak jej postukan kola boku,  
Pryweła chłopca do roku!

Z Nehworoszczy przyjechawszy do Berdyczowa, zastałem tam krewnego mego Marcina Bośniackiego, byłego marszałka zwiahelskiego powiatu, syna siostry mojej matki z domu Żytyńskiej. Zaprasza on mnie na wieczór do siebie grać w karty, których był wielkim amatorem. Odpowiadam mu, że przyjechałem na jarmark, dla kupienia koni i wołów, i że jak się zgram, nie będę mógł ich kupić. Perswaduje mi, że jak wygram, to będę mógł więcej kupić, a gdybym przegrał, to mi pożyczycy na kupno koni i wołów. Po długich naleganiach dałem się namówić i obiecałem przyjść o siódmej wieczorem. Przychodzę, zastaję liczne towarzystwo, po większej części znajomych, witają mnie piosenką o Michałku, winszują wyzdrowienia, w wesołym towarzystwie pijemy herbatę, poczem zasiadamy do modnego wówczas dyabełka. Grało nas czternastu, każdy stawil do puli po 2 rs., pula więc składała się z 28 rs. Ja byłem ósmy z rzędu, siedmiu, stawiając po pół puli, przegrali. Zebrała się więc znaczna suma. Postawiłem trzy ruble i z tych zdwajając ciągle wygraną, zabrałem całą pulę. Kilku postawiło parę razy stawki, przegrali i nikt nie chciał już więcej stawić, musiałem oddać

karty następnemu, połowę wygranej schowałem do kieszeni, a drugą zostawiłem na dalszą grę. Drugą pulę wziął ktoś inny, do trzeciej postawiłem 5 rs. i przegrałem. Ale po jakimś czasie zebrała się znowu duża pula, postawiłem 6 rs. i z tych znowu zabrałem pulę. Parę wystawionych stawek także wygrałem i oddałem karty następnemu. Znowu połowa wygranej poszła do kieszeni. Nad ranem zebrała się znowu znaczna pula. Chcąc zakończyć grę prędzej postawiłem 25 rs., przeszedłem kilka razy, zdawało mi się, że pula już wzięta, obliczono ją i pokazało się, że jeszcze pozostało do wzięcia przeszło sto rubli, biję je, przegrywam i oddaję karty i wychodzę na miasto. Jarmark już się rozpoczął, nie zachodząc więc na kwaterę, jadę prosto na targowicę, i za wygrane pieniądze kupuję siedemnaście koni, które nazwałem dyabelkami. Jeden z nich tak się wyjeździł pod wierzchem, że mi trzynaście lat służył, polując z chartami i nigdy nie utknął, nie zważając na moją siedmiopudową wagę. Kupiłem jeszcze siodło za 36 rubli i dwie boksze tytoniu tureckiego za 40 rubli. Obliczywszy się, pokazało się, że wygrałem 1629 rs., gdyż 959 zapłaciłem za to wszystko co kupiłem i zostało mi jeszcze gotówki 670 rs. Wyspawszy się dobrze, kazałem zaprządz konie, żeby pojechać za miasto, na wołową targowicę, wtem wchodzi Bośniacki, w deputacyi od przegranych, żądających rewanżu, gdyż obliczają, że wygrałem przeszło 3000 rs. Obiecałem przyjść wieczorem. Zapytuję Bośniackiego, czy wygrał wczoraj, mówi mi, że tak się zgrał, że zamiast obiecanej mnie wczoraj pożyczki, sam prosi mnie o takową. Dałem mu połowę z pozostałych wygranych pieniędzy i sam pojechałem kupować woły, których 50 kupiłem do perekalskiej gorzelni i 50 do nehworoskiej. Zapłaciłem za

nie 3200 rs., ale pośpieszyłem się i przepłaciłem, gdyż na drugi dzień sprzedawano po 28 rs. takie same woły. Wyprawiłem konie i woły pod nadzorem Edwarda Witwickiego, kuzyna mego, który zarządzał Nehworoszczą, zjadłem obiad, zasnąłem jeszcze trochę i o 8-ej wieczorem poszedłem do Bośniackiego. Liczne już tam zastałem towarzystwo; nie było wszystkich wczorajszych, ale byli nowi na ich miejsce, gra szła bardzo ożywiona; przed Bośniackim widzę dużo leżących pieniędzy, mówi mi, to twoje takie szczęśliwe, mogę ci je zwrócić; odpowiadam że nie potrzebuję, bo mam pieniądze. Zaczęła się gra na nowo, mnie wypadło siódme miejsce, proponuję stawić po 3 ruble, dziewięciu się zgodziło, dwóch nie i poszli do domu. Pula się więc składała z 27 r. s. Jakoś gra szła nie wielka, pula się duża nie zbierała godzina już pierwsza w nocy, zmęczony chcę odchodzić, żeby rano odjechać do domu, nie puszczają, zatrzymują, żeby grać jeszcze. Zebrała się jakoś większa pula, postawiłem 30 rs., przeszedłem pięć razy i bastuję, oddając karty następnemu, i ten wziął resztę puli. Pomimo nalegań przestałem dalej grać i odchodzę, żeby kazać konie zaprzęgać dla wyjazdu, bo już dzień się dobry zrobił. Przy pożegnaniu Bośniacki oddał mi pożyczone pieniądze i zaproponował, żeby razem z nim jechać do niego do Mecherzyniec. Zgodziłem się na to i razem wyjechaliśmy z Berdyczowa. Popaśszy konie na pół drogi, na noc zdążyliśmy do Mecherzyniec. Tutaj dopiero wypocząłem, zabawiwszy następny dzień i wyruszyłem na noc do Czepelówki, w powiecie konstantynowskim, skąd do Zahajec i wreszcie do domu do Perekał. Po obliczeniu się wygrana berdyczowska przyniosła mi przeszło 3000 rs. Od tej pory zaprowadziłem oddzielną kasę karcianą, z której często pożyczają

łem do pustej nieraz kasy rozchodowej, ale zawsze najakuratniej zwracałem pożyczone pieniądze. Później jednak zauważywszy, że takie gry po całych nocach rujnują zdrowie, a wygrane pieniądze, jako lekko nabyte, łatwo się rozchodzą, dałem sobie słowo nie grać zupełnie w hazardowne gry i dotąd słowa dotrzymuję, grając tylko w jednego wista i to po kopiejce punkt.

Biorąc Perekale w posesyę w roku 1833, płaciłem tenuty rocznej 15.000 złp. Miałem wówczas całego kapitału 8800 złp. Zapłaciłem półroczną tenutę. Za zarząd majątkami Bobrów brałem 4000 złp. Z początku w Perekalach niewielki miałem dochód. Gorzelnia jak wówczas zwano półparowa, dawała wydatku z korca żyta 21 kwart. Pszenicy w najlepsze lata nie było więcej nad 400 korcy. Przebudowawszy gorzelnię poług nowego systemu, postawiłem w niej 50 wołów na brahę i miałem 50 kwart wódki z korca. Zaprowadziłem owce i miałem ich do 1000 sztuk. Zwiększyłem zasiew pszenicy, tak że sprzedawałem jej rocznie 1000 korcy. Obejmując zarząd majątków pani Bobrowej, Nehworoszczyznę zastałem w posesyi. Trzymali ją do spółki porucznik wojsk polskich Kowalski i Dunajewski i ciągle narzekali że tracą. Trzeba im było często i po 1000 rs. ustępować z rocznej tenuty. Oświadczyłem pani Bobrowej, że ja sam wezmę Nehworoszczyznę w posesyę. Bardzo się ucieszyła z tego i przyznała mi kontrakt na lat 6, Kowalski z Dunajewskim dotrzymali do roku i kiedy przyjechałem odbierać od nich majątek, poprosili, żeby ich rozliczyć ze spółki. W czasie tych rozrachunków wynikły między nimi nieporozumienia i zaczęli sobie wymawiać, że umyślnie niszczyli majątek, żeby taniej płacić, a obecnie sami na tem najgorzej wychodzą. Nie bardzo pocieszającą dla mnie, jako dla

przyszłego posesora była ta wiadomość, ale cóż było robić. Przez lat kilka nie miałem żadnego zarobku, z posesyi Nehworoskiej. Zmieniłem kilku rządców, między którymi był i brat mój starszy Kazimierz i zaledwie wystarczało na zapłacenie 4000 rs. tenuty. Ale dobrałem sobie energicznego rządcę kuzyna Edwarda Witwickiego, postawiłem gorzelnie na 100 pudów zacieru, a później powiększyłem do 150 pudów, sto wołów stało na gorzelni, pobudowałem młyny, zrobiłem groble na rzece Ujwie w Zardelach. Zrobiłem służę, a także groble w Kotówce i Nehworoszczy. Zbudowałem dwa nowe folwarki w Nehworoszczy i Kotówce jeden, a w Kryłówce i Żerdelach drugi. Ornej ziemi w tych dwóch folwarkach było po 600 morgów w zmianę. Nawozu tam nigdy nie używano, ja pierwszy zacząłem go wywozić na pole i prawie podwójny miałem urodzaj w porównaniu z sąsiadami. Słowem podwajałem tak dochód, że z arend i czynszów opłacałem tenutę, a resztę dochodu zostawało w zysku. Szczególnie na owcach był znaczny zarobek. Co roku na wiosnę skupowałem owce z jagniętami, płacąc po złotych 12. Skupiwszy takich par tysiacy, puszczałem je na paszę w step, gdzie dzień i noc przebywały. Pastuchy się zmieniali jedni w dzień, drudzy w nocy. Owce doskonale się tuczyły i w sierpniu zarzynano ich, wygotowywano na tak zwany saħhan czyli łój. Para owiec zwykle dawała pud łożu, który się sprzedawał po złotych 20, za skóry brało się złot. 10, tak że na takiej parze owiec było zarobku 18 złp., a na tysiącu 18.000 złp. Były lata, że po parę tysięcy takich par skupowywało się. Przez 15 lat zebrał się kapitał, który corocznie składałem w kijowskim banku i za niego w roku 1848 kupiłem od pana Piotra Mężyńskiego w powiecie Łuckim część wsi Witoniza, a za-

łożywszy ją w banku w roku 1850 dokupiłem i drugą część od Antoniego Trzemeskiego, wraz z częścią drugiej sąsiedniej wsi Hończegobrodu, skąd poddanych przeniósłem do Witoniza. Zacząłem w Witonizu budować dom, ale sam mieszkałem w Perekalach. Pewnego dnia odbieram od marszałka Bobra list z żądaniem, że-  
bym na 10 maja przyjechał na wybory do Żytomierza. Bóbr od lat sześciu był marszałkiem gubernii, ale dalej być już nim nie chciał. Miałem u siebie wtenczas gości, którzy przyjechali na moje imieniny obchodzone zwykle 6 maja, szwagra mego Antoniego Wesołowskiego z żoną, z córką Apolonią i z guwernantką. Po imieni-  
nach wyruszyłem do Żytomierza, ale zaledwie z bramy wyjechałem, spłoszył się orczykowy koń i za nim wszystkie zaczęły nosić, furman nie mógł ich wstrzymać, nad drogą była duża jama, z której brano glinę i wywracam się w tę jamę. Przodek powozu oderwał się i konie z nim uleciały, lokaj i ja leżymy w jamie i nie możemy się podnieść, furman pobiegł za końmi. Wybiegli ludzie ze dworu i musiano mnie na rękach zanieść, bom stą-  
pić nie mógł na nogę. Posłano po doktora, cały miesiąc wyleżałem w łóżku, nie mogąc sam o swej mocy przewrócić się na drugą stronę. Kość w kolanie tak silnie została stłuczona, że kilku doktorów przez długi czas nic mi nie mogli pomódz. Okropnie cierpiałem. Sąsiedzi moi, jak pani Rafałowa, Rogusz i pani Januszowa Leduchowska ze Smordwy, kolejno pomagały mojej żonie mnie doglądać i nareszcie po sześciu tygodniach z trudnością o kulach mogłem chodzić. Marszałek Bóbr ciągle dowiadywał się o moje zdrowie i jak tylko się dowiedział, że opuściłem łóżko, przysłał po mnie karetę z Zahajec, prosząc, abym koniecznie przyjechał do Ży-  
tomierza. Bawiła przy mnie od dzieciństwa prawie, sy-

nowica moja Joanna Turkuł, córka mego brata, bardzo przywiązana do mnie; widząc taki mój stan uparła się jechać ze mną, dla pielęgnowania mnie w drodze i pojechaliśmy razem do Żytomierza. Przybyłem już po wyborach, zabawiłem tydzień cały i powróciłem do domu, gdzie znowu rozboleła mi noga. Doktor wojskowy korpuśny kazał mi postawić cztery apertury naokoło kolana. To mi jakoś pomogło. W interesie pani Bobrowej, która od wielu lat miała proces z Wolańskimi o Nehworoszczyznę, potrzebowalem pojechać do Warszawy. Trzy tygodnie wysiedzialem się w Warszawie zanim udało się mi zgodnie za 100.000 złp. skończyć z Wolańskimi, którzy za tę sumę ustąpili mnie swoje pretensye. Wracając wstąpiłem do Dubna, żeby tam zakwitować w sądzie panią Bobrową z pretensyi Wolańskich, i pojechałem do Zahajec. Tam zadowolnieni z pomyselnego ukończenia przeze mnie procesu, który tyle lat się ciągnął i na tyle kosztów narażał, fetują mnie nadzwyczaj gościnnie, polujemy, bawimy się, jedziemy na imieniny marszałka Mogilnickiego do Borowicy, gdzie przeziębiam się i zachorowuję znowu na nogę. Z wielką trudnością dostałem się napowrót do domu. Sprowadzam doktorów: Tomaszewskiego z Łucka, Maluszyckiego z Dubna, Zahorowskiego z Beresteczka, radzą, zapisują różne lekarstwa i smarowania. Miałem w domu rocznego stałego felczera, dla leczenia sług i włościan, ten dzień i noc mnie nie odstępuje, nic nie pomaga, cierpię okropnie. Między innymi środkami, kazano mi przez zmoczone prześcieradło gorącym żelazkiem nogę prasować, nic to jednak nie pomagało. Sypiać po nocach nie mogłem, apetytu żadnego nie miałem i zdawało się mnie, że już jestem blizki zgonu. Z wielką trudnością napisałem testament. Miałem u sie-

bie parę podręczników lekarskich, wedle systemów leczenia głośnych wówczas lekarzy Raspaela i Morysona, zacząłem je przepatrywać i natrafiłem w Raspaelu na opis cierpienia podobnego do mego, i była na nie recepta. Podług niej kazałem felczerowi zrobić maść z kamfory, oliwy i słoniny, wysmarować nią płótno i niem obwiązać całą nogę od stopy aż wyżej kolana. Okryłem się ciepło i po trzech nocach niesnu, zasnąłem mocno, w ciągu sześciu godzin. Po przebudzeniu się, ból w nodze znacznie się zmniejszył, kazałem powtórnie obandażować nogę i znowu spałem bez przerwy godzin ośm. Przebudziwszy się uczułem silne pieczenie w nodze, po odbandażowaniu okazało się mnóstwo białych pryszczów. Posłałem po doktora Zahorowskiego, gdy przyjechał i zobaczył nogę, zdziwił się ogromnie, pocieszając mnie, że będę zdrow, gdyż wszystko na wierzch wyszło i ból zupełnie ustanie, pokazałem mu receptę podług której była zrobiona maść, przepisał ją sobie i kazał nogę smarować oliwą. Prędko pryszczce zeszyły i wyzdrowiałem zupełnie.

Z Perekal często musiałem dojeżdżać do Witoniza dla doglądania licznych rozpoczętych tam budynków. Był tam zaczęty duży murowany dom przez byłego właściciela Pietruszewskiego, który przez długie lata stał bez nakrycia, trzeba było podług zrobionego przez architekturę planu, część jego murów rozebrać. Przez parę lat przygotowałem potrzebną ilość cegły i cały dom wykończyłem. Był on bardzo wygodny i pożądany, były urządzone kaloryfery do ogrzewania, tak że ani jednego pieca nie było w domu. Sufity wszystkie malowane przez dobrego malarza Niemca, któremu płaciłem po 150 i po 100 rs. za jeden sufit. Dziewięć dużych pokoi, dwa szklanne buduary po bokach domu,

dwa murowane korytarze łączyły z oficyną i ze stajnią. Zbudowałem przytem gorzelnię, piętrowy magazyn na wódkę, wołowinę na 60 wołów, stodołę na murowanych słupach, ze śpichlerzem wewnątrz i dwoma młocarniami. Owczarnię na podmurowaniu na 1000 owiec, trzy dwójaki dla służby, dwa wodne młyny. W lesie pasiekę, z chatą i stebnikiem, smolarnię, dystylarnię terpentyny <sup>1)</sup>. Na drugiej kupionej części przebudowałem dom, oficynę, stajnię, stodołę z młocarnią, dwie szopy, karczmę we wsi. Wykopałem rowów wiorst kilka. Urządziwszy mniej więcej to wszystko, skołatany pracą, bezdzietny potrzebowałem odpoczynku. Interesa pani Bobrowej powierzyłem Honoratowi Sadowskiemu i jemu odstąpiłem posesyę w Nehworoszczy. Perekale z Ochmatkowem zdałem marszałkowi Bobrowi. W roku 1852 wyprawiłem w Perekalach wesele memu synowcowi Wiktorowi Turkuł, który się ożenił z kuzynką mojej żony, Elizą Jachniewicz i sam przeniosłem się na mieszkanie do Witoniza. W r. 1854 wielką poniosłem stratę przez śmierć synowicy mojej, przeze mnie wychowanej, Joanny Turkuł. Wymurowałem dla niej i razem dla siebie grób na cmentarzu kisielińskim. Tam ją pochowałem i postawiłem nadgrobek.

---

<sup>1)</sup> W roku 1864 w Warszawie nakładem redakcyi gazety rolniczej, wydaną została broszurka: »Pędzenie smoły i terpentyny, opisał z własnego doświadczenia Jan Turkuł, obywatel z Wołynia«.

---

## ROZDZIAŁ VI.

Wyjazd mój za granicę w roku 1859. — Pobyt w Krakowie, Zatorze, Wrocławiu, Dreźnie, Wiedniu, Wiesbaden. — Powrót do domu. — Imieniny pułkownika Tarnowskiego w roku 1860. — Polowanie z chartami w Zahajcach. — Konie arabskie hr. Dzieduszyckiego. — Uwłaszczenie włościan w roku 1862. — Rozstrzelanie w Dubnie Aleksandra Bobra, aresztowania z tego powodu po powiatach. — Śmierć marszałka Bobra. — Wystawa wiedeńska w roku 1873. — Wystawa paryska w roku 1878. — Zakończenie od wydawcy.

Mieszkając w Witoniu w roku 1859 rozchorowałem się silnie na krzyże. Doktorowie miejscowi radzili mi wyjechać do wód za granicę, a że siostrzeniec mój Jan Wesołowski, tylko co skończył wydział medyczny w kijowskim uniwersytecie, zaproponowałem mu jechać ze mną. Wyrobiliśmy paszporty i przez Lwów pojechaliśmy na święta Wielkanocne do Krakowa. Staaliśmy w Saskim hotelu, zwiedziliśmy katedrę, Zamek, groby królów polskich, skarbiec. W Wielki Czwartek pierwszy raz w mem życiu byłem świadkiem ceremonii umywania nóg przez biskupa ubogim. Zwiedziliśmy także Wieliczkę, podziwiając te prawdziwe cuda podziemnego świata, ręką ludzką zdziałane. W Krakowie był wówczas sławny doktor Dietl, udałem się do niego po poradę, jaką mam przedsięwziąć kuracyę. Po szczegółowem zbadaniu polecił mi jechać do Wiesbadenu, tam

się kąpać i pić wody. Po tygodniowym więc pobycie w Krakowie, wyruszyliśmy w dalszą podróż. Do Oświęcimia przybyliśmy koleją, skąd pocztą dojechaliśmy do Zatora, majątku hrabiego Maurycego Potockiego. Chciałem oglądnąć tam wzorowo prowadzone gospodarstwo. Miałem list polecający od hrabiego do rządcy pana Kaliskiego. Przybyliśmy o godzinie 9-tej rano, przyjął nas bardzo uprzejmie, zapytał gdzie życzymy sobie zakwaterować, w pałacu czy w oficynie. Wybraliśmy tę ostatnią. Był to drugi dzień świąt wielkanocnych, zaprosił nas na święcone, poczem pożegnaliśmy go, chcąc odpocząć trochę i odkładając objazd folwarków na dzień następny.

Zator jest to porządne miasteczko. Pałac 3-piętrowy, dawna rezydencja Jana III. Obok oficyna dwupiętrowa. Kościół, wszystkie zabudowania murowane, duży, starannie utrzymany ogród. Widok bardzo ładny, w pogodny dzień widać Karpaty ze śnieżnymi szczytami. Do klucza zatorskiego należy 14 folwarków. We wszystkich zabudowania porządne, murowane, szosy od folwarku do forwarku obsadzone drzewami, gospodarstwo prowadzone wzorowo, płodozmiany, irygacya, 26 sztucznych zarybionych karpiami stawów, dających rocznego dochodu do 30.000 guldenów. Są stawy po 100 morgów obszaru, z których po trzech latach spuszczają wodę i zasiewają zbożem, a później znowu się zawodniają i napuszczają młodych karp. Jest bażantarnia. Na folwarku zatorskim zastaliśmy koni roboczych 40, wołów 20. Uprząż na wszystkie konie krakowskie chomąty i konie takie, że każdego można do karety zaprządz. Czystość, porządek wszędzie wzorowy. Nietylko konie, ale i woły co dzień czyszczą zgrzebłem. Na trzeci dzień świąt po śniadaniu pojechaliśmy objechać folwarki.

Na pierwszym z nich zastaliśmy 80 krów dojnych w murowanej oborze. Na każde 20 krów jest jedna dojka, która każdego dnia obowiązana je wydoić, oczyścić, nakarmić. Owiec nie trzymają, a tylko bydło i konie. Byliśmy i w gorzelnii, niewielka ale wzorowo urządzona. Zajeżdżaliśmy do bażantarni, niektóre samki znoszą jaja, a siedzieć nie chcą, wyręczają ich indyczki, a wylęgte pisklęta na wiosnę rozwożą po lasach i tam na nich w jesieni polują. Kuropatw mnóstwo, sadzą dla nich między polami, po rozdołach, drzewka i krzewy, gdzie się one kryją, a spłoszone przelatują do drugiego takiego miejsca. Mówiono mi, że kiedy jednego roku skutkiem ciężkiej zimy wyginęły wszystkie kuropatwy, to sprowadzono z Czech 500 par i rozpuszczono ich po polach. Czwartego dnia odjechaliśmy do Oświęcimia na kolej i stamtąd do Wrocławia, gdzie stanęliśmy w hotelu Goldene Gans. Z Wrocławia pocztą pojechałem do będącej w okolicy wzorowo prowadzonej owczarni, dla kupienia baranów, sześciu do Zahajec a jednego dla siebie. Zapłaciłem za nie po 100 rubli. Z takiego reproduktora po kilku latach dochowałem się 500 sztuk, za wełnę których brałem drożej jak z reszty owiec hiszpańskich. Z Wrocławia przybywszy do Drezna zatrzymałem się tam dla poradzenia się jeszcze sławnego doktora Szmulu, który potwierdził w zupełności ordynację Dietla. W Dreźnie przebyliśmy parę dni, oglądając muzea i gabinety, galerye obrazów, pałac królewski, kościoły. Z Drezna statkiem parowym popłynęliśmy do Ratisbony, przepływając koło tego miejsca, gdzie ks. Józef Poniatowski utonął. Trzy dni zabrała nam ta podróż wodna, ale tylko dniem, na noc udawaliśmy się do hoteli i tak przybyliśmy do Wiednia. Było to w przededniu wojny francusko-włoskiej i z tego powodu odby-

wały się werbunki do wojska, tak że i nas nawet werbowano. Co to był za ruch i ożywienie na ulicach? Śpiewy i hulanki po całych dniach i nocach. Dla większego zachęcenia ochotników pozwolono im brać z sobą żony i kochanki, które z Wiednia pomieszczono w osobnym wagonie i na jednej ze stacyi, odczepiono ten wagon i bohaterki pieszo musiały wracać napowrót. Towarzysz mój doktor Wesołowski codziennie uczęszczał do kliniki położniczej, urządzonej na 100 łóżek, do której bezpłatnie przyjmowano chorych. Z Wiednia przez Norymbergę wyruszyliśmy koleją do Wiesbadenu. W jednym miejscu widzę ze zdziwieniem, że z jednej strony razem z nami idzie kolej konna, a z drugiej po kanale statek parowy. We Frankfurcie nad Menem przenocowaliśmy i nazajutrz o godzinie 11-tej rano przybyliśmy do Wiesbadenu. Stanęliśmy w hotelu, do którego przeprowadzoną była gorąca na 80 stopni woda ze źródła i zaraz na drugi dzień zacząłem brać kąpiele. Ta sama woda o sążni 600 od źródła jest tak już zimna, że trzeba ją grzać do kąpeli, a tę co ze źródła wprost idzie do wanny, trzeba studzić. Staliśmy w hotelu na 1-em piętrze, o godzinie 2-giej jedliśmy obiad, który o 12-tej godzinie zaczynało przygotowywać i dwie kucharki przy pomocy samej właścicielki hotelu codziennie na sto osób gotowały. Chciałem taki porządek zaprowadzić i u siebie w domu, ale po kilku próbach okazało się to niemożliwym. Na całe piętro, z 50 numerów składające się, był jeden lokaj, numerowa i stróż na posyłki, i na każdy odgłos dzwonka byli zawsze na zawołanie. Po 15 wziętych kąpielach dostałem silnego bólu we wszystkich stawach, posyłam po doktora Weisenhofa, który mnie leczył, gdy wtem wchodzi sąsiad nasz pan Wiktor, obywatel z Galicyi i pociesza

mnie, że to bardzo pożądanym symptom, dowodzący skutecznego działania wód, że on drugi rok już oczekuje napróżno takich oznak. Przybyły doktor potwierdził to w zupełności i pocieszył mnie nadzieją rychłego zupełnego wyzdrowienia. Kąpałem się więc dalej, a w dzień urządzaliśmy różne wycieczki piesze w okolice Wiesbadenu.

Bardzo mnie zajmowało urządzenie wodnej przędzalni. Ze źródła idącej wody z góry za miastem, przeprowadzono ją do rynsztoka, z którego wypływając obracała kilka kół, obracających 30 wrzecion przędzących wełnę i bawełnę. Każdego dziesiątka wrzecion pilnuje jedna dziewczyna, żeby się nici nie przerywały. Zwrócił także naszą uwagę młyn wodny bez żadnego zupełnie stawu, w górze kamiennej wykuty był otwór, z którego wypływająca woda obracała trzy koła bezustannie. Często zachodziliśmy do kursali, gdzie na trzech stołach, przy każdym po 80 osób grało w *rouge et noire*. Myśmy nie grali, ale przypatrywaliśmy się grającym, między którymi najzapamiętalej grały kobiety. Szczególniej zwracała naszą uwagę jedna Angielka, codziennie grająca i najczęściej przegrywająca. Poczem zwykle szła do czytelnicy odgrywać się na gazetach, a jak wygrywała, to grała dopóki gra trwała, co zwykle do 11-tej godziny tylko przeciągało się. Na ścianach za szkłem wisiały prawidła gry. Nie można było stawić mniej jak guldena i więcej jak 3000, i to tylko złotem lub srebrem. Cała okolica Wiesbadenu w sadach i ogrodach, miedze pół powysadzone drzewami owocowymi. Po skończonej kuracyi opuściłem Wiesbaden, we Frankfurcie rozstałem się z moim towarzyszem doktorem Wesołowskim, on pojechał do Paryża, a ja do domu. W Lipsku przeno-cowałem, przykro było mi być samemu, nie znając ję-

zyka, nie chciałem nawet oglądać miasta i pojechałem prosto na kolej. W Krakowie dopiero, posłyszawszy mowę rodzinną, odetchnąłem swobodniej. Zajeżdżałem jeszcze do Białej, dla kupienia powozu, którym pocztą już, zajechałem do Częstochowy. Pomodliłem się w kościele, wypowiadałem się i już koleją wraz z powozem przybyłem do Warszawy. Tutaj miały czekać na mnie moje konie, które rzeczywiście zastałem i zabawiwszy dzień jeden wyruszyłem do domu. Z Wiesbadenu wróciłem zupełnie zdrów, a mając w domu urządzoną łaźnię parową, często jej używałem i to mnie ustrzegło nie od jednej słabości. W tymże roku 1859 z powodu śmierci krewnej mojej Leonildy Żytyńskiej, żony ciotecznego brata mego Konstantego Żytyńskiego, zmarłego w 1856 roku, zrobiłem dział fortuny pomiędzy siedmiu jej synami, z których najmłodszy Antoni był jeszcze małoletnim. Jako opiekun, odwoziłem go do Warszawy do gimnazyum i ulokowałem na kwaterze u prefekta tegoż gimnazyum, ks. kanonika Solarskiego. Miałem i drugiego małoletniego pupila Antoniego Załęskiego, który także był w szkołach w Warszawie.

W roku 1860 obchodzono, tak jak co roku przedtem, bardzo uroczyście, imieniny pułkownika wojsk polskich Marcina Tarnowskiego w Berezcach. Był to, można powiedzieć, patriarcha Wołynia. Człowiek używający powszechnego szacunku i poważania na całym Wołyniu, Podolu i Ukrainie. Wieleż to procesów i sporów był on rozjemcą, wielu poważnionych pogodził. A gdy się zdarzyło parę razy, że jedna ze stron niezadowolniona z wyroku, nie chciała go wypełnić, z własnej kieszeni należność pokrzywdzonej stronie wypłacił. To też szanowano go ogólnie i na dzień 11-ty listopada, dzień jego imienin, z trzech gubernii mnóstwo

panów i szlachty dążyło do Bereziec składać życzenia sędziwemu solenizantowi. Zjazdy te były tak liczne, że żadna sala obszernego pałacu pomieściłoby gości nie mogła i dlatego umyślnie w ogrodzie, zbudowana była ogromna galerya, gdzie się obiad odbywał. Ugoszczenie trwało dni kilka, gdyż po imieninach odbywało się zwykle polowanie z chartami, nieraz w sto i więcej koni. Poczem marszałek Bóbr zapraszał na dalszy ciąg polowania do siebie do Zahajec. Ja mieszkając w Perekałach często bywałem na takich imieninach, ale z Witoniża było trochę za daleko. W tym jednak roku, ponieważ siostrzeniec mój Ludwik Żytyński tylko co skończył uniwersytet kijowski, chciałem go, jak to mówią, wprowadzić w świat, i razem z nim pojechałem do Bereziec za Krzemieńcem. Były to już ostatnie imieniny pułkownika. Wkrótce wyjechał on na mieszkanie do Krakowa, gdzie i życie zakończył. Po tych imieninach większa część towarzystwa razem z panem pułkownikiem pojechała do Zahajec na polowanie z chartami. Zięć marszałka Bobra, hr. Juliusz Dzieduszycki, sławny amator koni, całą swoją stajnię arabskich, czystej krwi koni, miał wówczas w Zahajcach. Prezentował on nam ją sam, dosiadając każdego ze swych arabów. Szczególniej odznaczał się reproduktor całej stajni, biały jak mleko, pielgrzym, przed 10-ciu laty przez samego hrabiego, z narażeniem życia, z Arabii wyprowadzony. Musiał bowiem na nim dzień i noc uciekać przed pogonią Arabów, którzy sprzedawszy go za znaczną sumę, kilku tysięcy dukatów, gonili nabywcę, aby napowrót odebrać. Po nim wszyscy podziwiali Ferukana, perskiej rasy, nabytego od konsula perskiego w Paryżu, za sumę 20.000 franków, nie zważając na przestrelony kark w jakiejś potyczce i na niemłody już wiek. Na tym jednym nie

wyjeżdżał sam hrabia, a tylko masztalerz, a to z powodu, że kiedyś, kiedy opierającego uderzył pejcem, koń tak się rozhukał, że zrzucił jeźdźca i leżącego kąsał, mszcząc się za uderzenie. Od tej pory nie jeździł już więcej na nim, dotrzymując danego słowa żonie.

Dla wszystkich gości, którzy nie mieli swoich wierzchowych koni, hrabia Dzieduszycki dawał swoje i przez tydzień cały codziennie odbywało się polowanie w sto koni prawie. Pułkownik jeździł zawsze z trąbką i jak zając ucieknie z pod czyich chartów, to się zaraz trąbka odzywa i wszyscy kłaniają się właścicielowi chartów. Oprócz wierzchowych koni miał hr. Dzieduszycki i jezdne araby. Szczególniej wyróżniały się cztery niewielkie szpakowate klacze. Zwykle zrana wysyłano na przód konie wierzchowe i charty na naznaczone miejsce, skąd miało zaczynać się polowanie, a po śniadaniu całe towarzystwo wyruszało powozami, bryczkami do tego miejsca. Hr. Dzieduszycki zwykle zostawał ostatnim, mówiąc do odjeżdżających: »Jedźcie dobrze, bo ja was dogonię i przegonię« i rzeczywiście kiedy w polowie drogi zwykle dopędzał jadących, co koń wyskoczy, po kolei wymijał każdego kłusem i zwykle najpierwszy przyjeżdżał na miejsce zboru. Temi klaczami zawsze jednego dnia bez popasu przejeżdżał z Zahajec do Bodów, około sta wiorst robiąc.

W roku 1862 nastąpiło uwłaszczenie włościan. Dla uregulowania nowych stosunków, wybierani byli z pomiędzy obywateli, tak zwani, mirowi pośrednicy. Co miesiąc w powiatowem mieście, w pomieszkaniu marszałka, zbierali się obywatele dla narad i uchwał w kwestyi włościańskiej. Łuckim marszałkiem od wyborów jeszcze był wówczas Pan Erazm Stecki z Horodyszcz. Był to już ostatni marszałek od wyborów. Następcami

jego byli już tylko Rosyane od rządu naznaczeni. Mirowymi pośrednikami byli: Izydor Jarząbkowski z Grudka, Adolf Samowski z Poddębiec. Po 1864 roku i mirowych pośredników od wyborów usunął rząd, nazywając urzędników Rosyan. Zmiany te wywołało powstanie w Królestwie, które poprzedzały liczne i częste manifestacye, jak śpiewy patryotyczne po kościołach, żałobne nabożeństwa za poległych w czasie rozruchów Warszawie, liczny zjazd w Uściługu zatrzymanych obywateli z trzech gubernii dążących do Horodła na obchód rocznicy Unii Litwy z koroną, wejście oddziału powstańców z Galicyi do Porycza, pod dowództwem Wiśniewskiego, rozstrzelanego we Włodzimierzu. Ale najwięcej przyczyniło się do licznych aresztowań i naznaczenia komisji wojenno-śledczej w Łucku, zabicie sędziego Hołubowskiego w Dubnie, na kontraktach w roku 1864 przez obywatela Aleksandra Bobra. Był to daleki krewny marszałka Teodora Bobra, którego z powodu, że nie był bogato uposażonym, ani materyalnie, ani umysłowo, ogólnie nazywano Bobrykiem. Bywał on w Zahajcach, pomagał mu marszałek, znałem go dobrze, ale zwykle bywał on przedmiotem różnych żartów w każdym towarzystwie, coś mu brakowało i zawsze przepowiadano mu, że skończy pomieszeniem. I rzeczywiście tylko rozwojowi podobnej choroby można przypisać fakt, który tak fatalne pociągnął za sobą następstwa. W biały dzień, w Dubnie na ulicy, w czasie jarmarku, a dawniejszych kontraktów w styczniu 1864 r. siekierką zabił Aleksander Bóbr, sędziego Hołubowskiego, Polaka, człowieka bardzo wiekowego, który wprawdzie nie używał dobrej opinii, jako oddany rządowi, ale w każdym razie, pozycja jego, jako sędziego powiatowego, pod względem politycznym, nie miała żadnego znaczenia.

Podczas śledztwa tak się tłómaczył niejasno i tak plątał, że wojenny sąd uznał go za żandarma rządu narodowego i rozstrzelano go w Dubnie. Ale przekonanie rządu, że na Wołyniu są żandarmi, a więc i organizacya musi być bardzo rozgałęzioną, było powodem bardzo licznych rewizyi i aresztowań w kilku powiatach. Z włościan urządzono pospolite ruszenie, uzbrojono ich w piki, w każdej wiosce postawiono warty. Przy każdej rewizyi we dworze asystowali piknierzy. W samym łuckim powiecie aresztowano kilkadziesiąt osób, między którymi były i kobiety, jak sąsiadki moje pani Faustyna Walewska z Babiego, marszałkowa Modestowa Stecka z Radowicz, pani Strzemeska z Tuliczowa. Aresztowano synowca mego Wiktora Turkuła, trzymającego posesyę w Perekalach, dwóch siostrzeńców moich Żytyńskich, marszałka Steckiego, który w więzieniu życie zakończył i wiele innych osób. Wojenno-sądowa komisya w Łucku, z prezesem Butlerem na czele, przez lat parę trwająca, ciągle jednych aresztowała, drugich za poręką uwalniała. Wielu później z uwiezionych zesłano na Syberyę i do Rosyi. Słowem były to czasy bardzo przykre do przebycia, nikt nie był pewnym dnia jutrzejszego. W roku 1865 w jesieni umarł marszałek Teodor Bóbr. Zięć jego hr. Juliusz Dzieduszycki przysłał do Witoniza umyślnego, wzywając mego przybycia do Zahajec. Byłem wówczas u sąsiada mego pułkownika Łobarzewskiego w Wielicku, przysłano za mną i pojechałem do Zahajec. Na żądanie córek zmarłego, razem z byłym marszałkiem powiatu krzemienieckiego, panem Adolfem Jełowickim, blizkim sąsiadem Zahajec, zrobiliśmy dział majątku między sukcesorkami hrabiną Ludwiką Potocką i hr. Zofią Dzieduszycką. Druga jako młodsza, wybrała sobie klucz zahorowski w powiecie włodzimirskim, skła-

dający się z 7 folwarków, a dla hr. Potockiej pozostały Zahajce, Ceceniówka, Czepelówka, Woskodawinice, Perakale, Ochmatków i Wojnica. Ja zmuszony byłem znowu przyjąć na siebie zarząd schedy hr. Potockiej, który przez lat dwanaście jeszcze spełniałem. Czepelówkę wypuściłem w posesyę Honoratowi Sadowskiemu i kiedy mu w czerwcu zdawałem majątek, odbieram umyślnym posłańcem wiadomość, że się spalił dom w Witoniżu. Pokończyłem interesa w Czepelówce i we dwa tygodnie po pożarze, przyjechawszy do Witoniża, zastałem belki tlejące w murze. Wszystkie moje rzeczy, papiery, srebro, zegary i co było kosztowniejszego w moim pokoju, spaliło się, zostało to tylko co było przy mnie. W tym samym roku spaliła się mi smolarnia, zbudowana podług nowego systemu, który opisałem w oddzielnej broszurce, i redakcyja gazety rolniczej swoim nakładem ją wydała, spaliła się destylarnia terpentyny, a i nowi rządowi mirowi pośrednicy, nieprawnie tyle mojej ziemi oddali włościanom, że jak się obliczyłem, w tym jednym roku miałem ogólnie straty 20.000 rs. Powoli odbudowałem dom, dałem cały nowy dach, wszystkie nowe drzwi i okna, tak że cały dom zewnątrz i wewnątrz został doprowadzony do pierwotnego prawie stanu. Odbudowałem smolarnię i znowu drugi raz się spaliła, spalił się młyn jeden, którego już nie odbudowałem, ale drugi młyn przerobiłem podług systemu amerykańskiego.

W roku 1873 jeździłem na wystawę powszechną do Wiednia. Według mego zdania, każdy kto może powinien jeździć na takie wystawy i gdybym miał syna, zawczasu przygotowałbym dla niego fundusz na ten tylko cel przeznaczony. Namawiałem kilku moich sąsiadów, żeby razem jechać, jeden nawet się zgodził, Lu-

cyan Bogusz, syn moich dawnych sąsiadów z Kniahinina dubieńskiego powiatu, koło Perekal. Umówiliśmy się o dzień wyjazdu, czekam, posyłam do niego, odpiśuje mi, że jeszcze paszportu nie odebrał, żebym jechał nie czekając na niego a spotkamy się w Wiedniu. Pojechałem, alem się go nie doczekał i sam powracać musiałem. Spotkałem się wprawdzie z bratem jego Urbanem, ale w dniu jego wyjazdu z Wiednia, tak że z towarzystwa jego nie korzystałem. W hotelu, w którym kwaterowałem, miałem sąsiada, proboszcza z Galicyi z nadgraniczy węgierskiej, z tym codziennie przez dwa tygodnie razem zwiedzaliśmy wystawę, pozostając na niej od rana do godziny piątej. Przypatrywałem się wszystkim maszynom, których tyle było wielkich i małych, i wszystkie w działaniu. Jedne wyrabiały różne materye, drugie heblowały drzewo, żelazo, toczyły takowe, wzory budynków całego świata, była tam i nasza chata włościańska, ze wszystkimi przyrządami, sprzętami, odzieniem, jakie który naród używa. Zwierzęta, ptactwo wszystkich części świata i krajów, arcydzieła sztuki. Słowem, opisać wszystko, co się widziało, nie byłoby końca i czasu na to. Mojem zdaniem, każdy kto tylko może, powinien jeździć na wystawy powszechnie, gdyż w ciągu kilku dni więcej tam może nauczyć się widząc, jak w ciągu lat całych, ucząc się z książek. W pięć lat później w roku 1878 zwiedziłem jeszcze wystawę paryską, razem z doktorem Janem Wesołowskim, z którym już raz jeździłem do Wiesbadenu. Zjechaliśmy się w Warszawie, skąd wzięliśmy bilety wprost do Paryża z powrotem przez dni dwadzieścia. Znacznie to nam zmniejszyło koszt przejazdu, zatrzymaliśmy się parę dni w Berlinie, oglądnęli wszystkie jego osobliwości, jak rezydencyę królewską, Bismarka, muzea i galerye. Berlin

wydał się nam bardzo ładnem i szczególnie czystem i porządnem miastem, ale nie tak ożywionem i ruchliwym jak Wiedeń lub Paryż. Z Berlina nie zatrzymując się nigdzie, przybyliśmy wprost do Paryża. Razem z nami jechał jakiś Poznańczyk, poznajomiliśmy się z nim i razem we trzech zajechaliśmy do hotelu. Na drugi dzień doktor Wesołowski, który półtora roku w Paryżu studyował medycynę i znał go doskonale, wynalazł w samym środku miasta trzy pokoje z trzema łózkami, na pierwszym piętrze z przedpokojem i usługą. W tymże domu obiad z pięciu potraw z winem za dwa franki, tak samo jak za kwaterę od osoby. Zaraz przenieśliśmy się do tego mieszkania, które niedalekiem było od wystawy i bardzo nam w niem było dogodnie. Najprzód najęliśmy fiakra, żeby objechać cały Paryż. W pobliżu spalonych Tuillerie, ujrzeliśmy balon, który przy nas puszczono z 40 osobami i nazad go spuszczone za pomocą odpowiednich parowych maszyn na toż miejsce. Płaciło się za taką nadpowietrzną podróż 10 franków i codziennie od godziny 10-ej rano do 6-ej wieczór balon był przepełniony i przedsiębiorca musiał korzystny zrobić interes. Objechawszy Paryż, na drugi dzień udaliśmy się na wystawę. Tę znalazłem daleko wspanialszą od wiedeńskiej. Co najmniej trzy razy tyle zajmowała przestrzeni. Było przytem dużo nowych wynalazków, jak maszyna drukarska, drukująca rozmaitymi alfabetami i w najrozmaitszych językach, maszyna do robienia szpilek, z której z włożonego drutu odrazu wylatują gotowe szpilki prosto w pudełka. Samo urządzenie wystawy o wiele przewyższało wiedeńską. Szczególniej pod względem różnych ułatwień i dogodności dla zwiedzających. Na każdym kroku jest na czem odpocząć, ugasić pragnienie, czystą filtrowaną wodą. Odjeżdżanie

z wystawy tylu tłoczących się ludzi o jednej porze było bardzo utrudnione w Wiedniu, siłą trzeba było zdobywać miejsce w omnibusie i często zdarzały się wypadki z tego powodu. W Paryżu tyle było urządzonych omnibusów, fiaków, statków i łodzi parowych, że powrót z wystawy odbywał się bez najmniejszego tłoku, najspokojniej i najporządniej. Byliśmy na sławnej wieży Eifel w Trocadero, na którą windą dostaliśmy się, aby podziwiać z góry Paryż. Jedno co się mnie nie podobało w Paryżu, to kościoły, w których trzeba płacić za miejsce i nie są tak bogate i tak usposabiające do modlitwy jak nasze. Zwiedzaliśmy także targowicę w czasie jarmarku. Cóż to za porządek. Bydło, konie, nierogaczna, drób, wszystkie produkta, wszystko to ma swoje miejsce pod dachem. Niema takiego tłoku i nieporządku, takiego błota, jak na naszych jarmarkach. Wszystko sprzedane zabierają zaraz na dwukołowe wozy, na których woły, owce, nierogacznię zaraz wywożą z targowicy. Dla zwiedzających wystawę, w razie zmęczenia, były wózki, w których obwożono po całej wystawie, szczególnie kobiety używały ich najczęściej. Ale opowiedzieć wszystko co się widziało nie sposób. Ponieważ mieliśmy terminowe bilety powrotu, opłacone w Warszawie, chcąc z nich korzystać, musieliśmy opuszczać Paryż i nie zatrzymując się nigdzie, powróciliśmy wprost do Warszawy.

---

Na tem się kończy pamiętnik ś. p. Jana Turkułła. Z treści jego przekonywamy się, że był to człowiek nadzwyczaj czynny, praktyczny, pełen energii i wyjątkowej pracy. Zalety te nie odstępowały go do samej śmierci, która nastąpiła w 92 roku jego życia, z wypadku, obalając na łożu śmiertelnem silny jeszcze organizm, pełen zasobów życiowych. Do jakiego stopnia był to silny, wytrzymały organizm, nie zważając na tyle przebytych chorób, to dowodzi tego, że jeszcze na lat kilka przed śmiercią polował na dubelty. Mógł całą noc bez przestanku grać w wista i nie kładąc się spać iść na cały dzień na polowanie. Robił to w 80 roku życia, jeżdżąc konno i polując z chartami. Przeżył on pięć pokoleń, a spotykając wnuków i prawnuków swych rówieśników, wydziwić się nie mógł, kiedy oni mieli czas posiwieć. Nigdy nie opuszczał go dobry humor, niewyczerpany był w opowiadaniu anegdot, przypowieści, piosnek okolicznościowych. W pierwszej połowie bieżącego stulecia, kiedy życie społeczne Wołynia w bardzo ograniczonym znajdowało się stanie, kiedy gazeta na stole średnio-zamożnego ziemianina była nadzwyczajną rzadkością, zmarły zawsze prenumerował parę pism peryodycznych, wypisywał książki i w swych licznych i częstych przejażdżkach po Wołyniu zawsze był dla każdego bardzo pożądanym gościem, udzielając nowin z szerszego świata, podając rady i wskazówki w zakresie ekonomicznych ulepszeń i zachęcając własnym przykładem do postępowych reform. A wieleż to on przeprowadził w swem życiu działów familijnych, wiele szlacheckich fortun uchronił od ruiny, wiele razy był opiekunem małoletnich sierot. Szczególniej w pierwszej połowie bieżącego stulecia, którego poziom umysłowy i moralny na Wołyniu był bardzo jeszcze zaco-

fany, zmarły, którego pamiętnik ogłaszamy, był człowiekiem bardzo wpływowym i bardzo dodatnio oddziaływującym na społeczeństwo, którego przez tyle lat tak pożytecznym był członkiem. Pochowany 27 grudnia 1892 roku na cmentarzu parafialnym w Kisielinie, powiatu włodzimierskiego. Niech mu ta ziemia, w której po tak pracowitej, pożytecznej a długiej wędrówce doczesnej spoczywa, lekką będzie, a pamiętnik ten niech będzie przyczynkiem do pomnika, jaki ma stanąć na jego grobie!

*Łahodówka dnia 12 marca 1897 r.*

*Ludwik Żytyński.*

---



## TREŚĆ ROZDZIAŁÓW.

	str.
<b>Rozdział I.</b> . . . . .	10
Rodowód Turkułów. — Pobyt mój w szkołach krzemienieckich od roku 1809 do 1814. — Prefekt Antoni Jarkowski. — Przejazd na niedźwiedziu. — Kurator Tadeusz Czacki. — Słabość moja. — Lekarze krzemienieccy. — Nauczyciele czterech pierwszych klas. — Hrabia Wacław Rzewuski. — Tomasz Padura. — Pobyt mój w domu rodziców od roku 1814 do 1819.	
<b>Rozdział II.</b> . . . . .	23
Pobyt mój u generała Bobra. — Podróż do Żytomierza. — Wysiedlenie pułkownika Argamakowa z najechanej przez tegoż Czepelówki. — Nabycie Zahorowskiego klucza przez jen. Bobra od hr. Michała Czackiego. — Zamieszkanie moje w Zahorowie. — 1-sze ożenienie się. — Radeccy w Koziatynie. — Śmierć żony. — Wyjazd do Humania. — Powrót. — Dwukrotne moje arestowanie.	
<b>Rozdział III.</b> . . . . .	36
Rok 1831. — Cholera. — Śmierć generała Bobra. — Wejście jen. Dwernickiego do Porycka. — Powstanie włodzimierskie. — Dwukrotne arestowanie marszałka Bobra. — Emigracya moja do Galicyi. — Całoroczny tam pobyt. — Powrót na Wołyń. — Dział familijny. — Pobyt mój w Zahajcach. — Panna Józefa Paderewska. — Jej słabość, jasnovidzenia i śmierć. — Wyjazd Bobrów za granicę. — Rok głodu. — Moje powtórne ożenienie. — Powrót Bobrów do kraju. —	

Nieporozumienia między nimi i rozejście się ich. —  
Przyjęcie przezemnie zarządu dóbr pani Bobrowej. —  
Wyjazd jej za granicę z córkami.

**Rozdział IV.** . . . . . 52

Hrabia Maurycy Potocki. — Jego przyjazd do Rosyi. —  
Więzienie w Kijowie. — Uwolnienie. — Podróż moja  
z marszałkiem Bobrem do Białorusi i Litwy. — Lu-  
stracya majątków hr. Potockiego, bereżyńskiego i ho-  
rodyńskiego klucza. — Ulepszenie systemu gorzelnia-  
nego i wprowadzenie takowego przemnie na Wołyniu.

**Rozdział V.** . . . . . 65

Doktor Michałko Wojciechowski leczy mnie. — Jego  
wziętość. — Egzamin jego w kijowskiej wraczebnej  
uprawie. — Jarmark Berdyczowski. — Gra w karty. —  
Powrót do domu. — O moich posesyach w Perekałach  
i Nehworoszczy. — Kupno Witoniza w 1848 r. — Bu-  
dowle wzniesione tam przezemnie. — Zamieszkanie  
moje w Witonizu.

**Rozdział VI.** . . . . . 78

Wyjazd mój za granicę w r. 1859. — Pobyt w Kra-  
kowie, Zatorze, Wrocławiu, Dreźnie, Wiedniu, Wies-  
baden. — Powrót do domu. — Imieniny pułkownika  
Tarnowskiego w roku 1860. — Polowanie z chartami  
w Zahajcach. — Konie arabskie hr. Dzieduszyckiego. —  
Uwłaszczenie włościan w roku 1862. — Rozstrzelanie  
w Dubnie Aleksandra Bobra. — Aresztowania z tego po-  
wodu po powiatach. — Śmierć marszałka Bobra. —  
Wystawa wiedeńska w roku 1873. — Wystawa pary-  
ska w roku 1878. — Zakończenie od wydawcy.



